Nr. 48 (1662). Warszawa, 30 listopada 1912 r. Rok XXXII

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY SPOŁECZNY I LITERACKI

Redakcja i Administracja Widok Nr. 3 Telefon Nr. 73-80

Nr 48 (1662). Rok XXXII.
30/XI Warszawa 1912 r.

PRAWDA

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Być albo nie być.

Jakże w okrutnym błędzie są ci, którzy wynikowi wyborów warszawskich przypisują znaczenie jakiegoś faktu przełomowego w układzie rzeczywistych stosunków narodu polskiego wobec Żydów!

W układzie sił i stosunków rzeczywistych żadna bynajmniej zmiana nie zaszła: zmiana ogromna dokonała się tylko w ich oświetleniu.

Akt samowoli i przemocy, którym Żydzi-nacjonaliści przekreślili wybór społeczeństwa polskiego, był tylko reflektorem, który światło jaskrawe rzucił na rzeczywistość od kilku już lat ustaloną. On tę rzeczywistość oświetlił; ale nie on ją stworzył, nie on ją skrystalizował. Sprzeczność między interesem polskim a interesem żydowskim powstała nie na terenie wyborczym, ale na gruncie ekonomicznym, społecznym i narodowym: w walce wyborczej sprzeczność owa znalazła tylko swój wykładnik zewnętrzny, tylko swój symbol.

To też niesłychanie jałowymi dzisiaj wydają nam się dociekania, jakby wyglądała rzeczywistość w chwili obecnej, gdyby Żydzi-nacjonaliści nie obalili kandydatury polskiej większości: rzeczywistość bowiem przedstawiałaby się dosłownie tak samo, jak przedstawia się dzisiaj. Może obcość i wrogość żywiołu żydowskiego nie odsłoniłaby się przed nami w tak doskonale zarysowanych kształtach, może odsłaniałaby się stopniowo: czyż jednak możemy przypuścić, że pozostałaby w ukryciu? że setki tysięcy nieprzyjaciół, ziemię naszą zalewających, mogłyby w istocie działać niepostrzeżenie? wypruwać nam żyły niepostrzeżenie?

Grozę pożaru uprzedza w ciszy nocnej dzwon, bijący na trwogę. Ale czyż podobna przypuścić, że gdyby nie odgłos dzwonu, to pożar dałoby się przespać spokojnie w ścianach płomieniami ogarniętych? — Nie! gdy łuna uderzy w okna, kto żyw zrywa się na nogi, kto żyw biegnie ratować siebie i dom swój! W płomieniach zostają tylko trupy.

To też ów wielki impet samoobronny, jaki w łonie społeczeństwa polskiego się, zbudził, może wydawać się bezzasadnym, jeżeli postawimy go w związku tylko z nagim faktem wyniku wyborczego w Warszawie lub w Łodzi. Skutek wyda się wówczas niewspólmiernie rozległy w stosunku do przyczyny.

Z tego stanowiska rozmaite odzywają się głosy:

— Jakto? Garść wyborców żydowskich miałażby zaważyć na szali stosunku naszego do ludności izraelskiej? kilkudziesięciu wyborców miałożby przechylić szalę?.

Tym wszystkim jednak głosom, przypuszczając, iż ze szczerego płyną przekonania, odpowiemy:

— Nie głos wyborców żydowskich ma dla nas znaczenie rozstrzygające, ale ów groźny żywioł niebezpieczeństwa, który stoi poza nim. Głos wyborców żydowskich był tylko dzwonem alarmowym, który nas wyrwał ze snu.

Ci którzy dowodzą, żeśmy się obudzili przedwcześnie lub zgoła niepotrzebnie, twierdzą tylko to, że dla śpiącego żadne nie istnieje niebezpieczeństwo, bowiem dlań żadna nie istnieje rzeczywistość.

Więc uspakajają bliźnich tymi słowy:

— Śpijcie bezpieczni: to tylko bije dzwon! Śpijcie póki można. Za chwilę i tak będziecie musieli się ocknąć, gdy na głowę runie wam—belka płonąca... Tymczasem — nie przerywajcie złotego pasma złudy...

Otóż, naszym zdaniem, w ten sposób uspakaja się tylko konających, tylko skazanych na zagładę.

Ktokolwiek żyć pragnie, liczyć się musi z rzeczywistością.

A to, iż chcemy żyć, że chcemy życia naszego bronić, jest-że przestępstwem, jest-że czyjąkolwiek krzywdą? A przedewszystkim — krzywdą i szkodą ludzkości?

Równie jak przed trybunałem naszej wielkiej i szczytnej przeszłości narodowej, tak przed kodeksem świętych ideałów ludzkości stanąć mamy prawo w szeregu wielkich narodów świata, jak równi pośród równych, mniej szczęśliwi od

innych, ale nemniej ważkie do powiedzenia mający słowo w prześwietnym chórze kultury, **słowo jedyne**, które my jedni tylko wyrzec potrafimy: nikt bowiem za nas go nie powie!

Zali możemy wyobrazić sobie narodziny muzyki Szopena, poezji Słowackiego, malarswa Matejki, poza granicami naszej ziemi ojczystej? Ten żywioł nieporównanego uroku, który stanowi duszę ich odrębności, nie da się wyłopić z najbogatszych pokładów sztuki obcych krajów. Jest on nasz. Jest jedyny. Z naszych rąk tylko mogła go otrzymać ludzkość, podobnie jak Eschyla wydać mogła tylko Grecja, Sekspira tylko — Anglja.

Jak w sztuce, tak również każdy naród wypowiada słowo własne w nauce, i własne słowo w filozofji.

Inne strony wszechbytu znalazły uwydatnienie w strukturze myśli niemieckiej, inne — odbiły się w umysłowości Anglików lub Francuzów.

Czego nie dokona naród pewien na drogach własnej pracy, czego nie dokona parciem własnej indywidualności, to stracone zostaje — dla ludzkości. Czego nie zdobędzie z wnętrza swych zasobów twórczych, to zostanie niezdobyte — dla ludzkości.

Każdy z nas nosi w sobie nawarstwienia i wkłady wszystkich kultur świata, w mniejszym lub większym stopniu.

Ileż pierwiastków różnorodnych sprzęgło się w chrystjanizmie, który dla nas wszystkich — Europejczyków — był kolebką umysłowości? Z iluż elementów — i z jak różnorodnych! — powstało pojęcie ewolucji, dla nas będące dziś już niemal kategorją myślenia? A w budowie parlamentaryzmu, w ustroju społecznym i ekonomicznym, w budowie techniki nowoczesnej, wreszcie, ileż, różnopochodnych cegieł legło społem na sobie i obok siebie od fundamentu aż do szczytów gmachu!

Usunięcie jakiejkolwiek cegły byłoby stratą dla całości niepowetowaną; zrzeczenie się udziału jakiejkolwiek kultury narodowej byłoby okrojeniem kultury powszechno—ludzkiej.

Stąd dla każdego narodu wynika uświęcone przez majestat najwyższego dobra ludzkości **przykazanie pracy nad rozwojem własnej kutury, własnej samoistności, własnego odrębnego bytu.**

Rozpęd twórczy, odbijający pieczęć swej osobowości na wszystkich polach działania: przemysłu, nauki, sztuki, wychowania i oświaty, — oto hasło każdego narodu żywotnego. Oto każdego narodu nietylko prawo, ale i — obowiązek.

Nam, Polakom, na siłach żywotnych nie zbywa. Niestety, dotkliwie we znaki daje się nam brak warsztatów pracy, brak urządzeń i środków materjalnych do podjęcia i skutecznego pełnienia zadań kultury.

Otóż zbiornikami urządzeń tych i środków są dzisiaj na całym świecie miasta.

Stulecie XIX minęło pod znakiem hegemonji mieszczaństwa. Z rąk szlachty zdetronizowanej, z rąk możnowładztwa, przejął ster rządów nad Europą tryumfujący mieszczanin: dobro swej klasy utożsamiwszy z dobrem wszystkich stanów, usiał niebo konstelacjami idei, których pięknością kazał się zachwycać innym, ale które własnym jego tylko ładownym okrętom wskazywały drogę do bogactwa; zburzywszy stare kulty i dawne monarchje, nowym dał początek dynastjom bogów i królów. Potęgę człowieka posunął do granic przedtym nieznanych, niepojętych. Wprzągłszy do służby parę i elektryczność przetworzył strukturę społeczeństwa, zreformował rolnictwo, handel, komunikację, przyspieszył obieg myśli, wra-

ECHA PRAWDY.

„Co weźmiemy — to nasze!"

Może już teraz przekonali się wszyscy, że w życiu staruszki Europy zaczyna się nowa epoka. Jedni to nazwą „ostatnim", inni może „pierwszym aktem dramatu dziejowego".

Patrzymy w tym momencie na chrzest krwi i ognia nowych królestw. Możnaby to nazwać także ich dojściem do pełnoletności, jasną jest bowiem rzeczą, że zrzucają ze siebie kuratelę, a może zażądają rachunków z opieki.

Również rzeczą względną jest, czy to, co się obecnie w Europie dzieje, uważać będziemy za dramat. Półwysep Bałkański krwią się zabarwił, to prawda, tym czasem jednak koncert europejski wygrywa motywy operetkowe.

Czyż nie był pełen mimowolnego humoru djalog polityczny pana Poincare'go i hrabiego Berchtolda? Minister francuski proponuje uregulowanie spraw bałkańskich na podstawie zupełnej bezinteresowności mocarstw. „Propozycja jest nie do przyjęcia, odpiera z oburzeniem hr. Berchtold,— sprzeciwia się wszystkim dotychczasowym tradycjom mocarstw europejskich". To racja, dotychczas żadna z potęg rozciągających czułą opiekę nad półwyspem Bałkańskim nie narażała się na podejrzenie, że czyni to bezinteresownie.

Gdy wykluczona jest bezinteresowność, to wykluczone jest i zgodne porozumienie. Położenie jest istotnie niemal bez wyjścia i mocarstwa europejskie jeśli nie z jedną tradycją, to z innymi zerwać będą musiały. Było bowiem dotąd ich tradycją, że sobie robiły wzajemnie ustępstwa ekonomiczne, lub przyznawały kompensaty terytorjalne w krajach, które wedle ich mniemania należały do nich wszystkich a do nikogo w szczególności. Czyniono to naturalnie kosztem „trzecich osób" — tych, które w koncercie europejskim głosu nie miały, a zatem dzielono w ten sposób Afrykę, próbowano też dzielić Chiny, w ostatnich czasach Persję, a w pewnej mierze i Półwysep Bałkański. Obecnie nagle okazuje się, że na tym gorącym, krwawym półwyspie —

żeń i uczuć. Miasto upokorzyło wieś. Mieszczanin stał się władcą XIX stulecia.

W jakim kierunku potoczą się losy dalszego rozwoju, trudno przesądzać; to pewna wszakże, iż pierwsze nowego wieku dziesięciolecie bynajmniej schyłku mieszczaństwa nie wskazuje. Owszem, coraz wyżej ono mierzy, coraz wyżej sięga. Jeszcze w nim nie znać znużenia. Świetny w latach ostatnich rozwój lotnictwa, którego tryumfy krwawymi wypadło okupić ofiarami, wydobył z łona mieszczaństwa zdumiewające wprost a świeże i dziecięco ufne siły bohaterstwa, zapału, prometeizmu,

I tu otwiera się pole tragedji narodu polskiego.

Naród polski nie posiada miast. Wiek ośmnasty przekazał swemu następcy polską wieś względnie zamożną, ale nie przekazał miast polskich. W ciągu wieku XIX wieś, wskutek burz politycznych, uległa rozbiciu lecz miasto nie wzrosło; szlachta odepchnięta została od kuźnic kultury, — niestety mieszczaństwo jej nie wyręczyło w pracy narodowej, bo mieszczaństwa, podawnemu, nie mieliśmy; miasta w Polsce, podawnemu, zamieszkiwały obce żywioły, obce naszej kulturze i narodowości. I oto od lat siupięćdziesięciu, jakby złowrogim snem obezwładnieni, patrzymy bezsilnie na wyścig kulturalny wszystkich narodów, galopujących w przyszłość. Wszyscy mkną całą siłą rozpędu: my jedni stoimy w miejscu, lub żółwim posuwamy się krokiem.

Polska nie mając miast stanęła jakoby po za nawiasem tego ogromnego tętna rozwoju, który na szczyt potęgi wyniósł wszystkie inne kraje Europy.

Nie tylko w szrankach życia ekonomicznego, ale na polu umysłowości i oświaty wyprzedzali nas kolejno: Czesi, Węgrzy, Chorwaci; niebawem nadejdzie chwila, że pozostawią nas w tyle po za sobą Serbi, Bułgarzy, Czarnogórcy!..

Dwudzieste stulecie zastało nas jeszcze na wsi, schylonych jak ongi przed wiekami, nad kolebką narodowości — zagrodą Piastowską.

Czas atoli nadchodzi ostateczny, aby wyjść z kolebki wiejskiej i — objąć w posiadanie miasta.

Przez lat kilkadziesiąt żyliśmy wiarą, iż miasta zapełnione w ... ludnością żydowską uda się nam wcielić do narodowego stanu posiadania na drodze asymilacji żywiołu semickiego.

Dziś dłużej łudzić się wiarą w asymilację żydów — niepodobna. Ta droga, jak obecnie się przekonywamy, nie doprowadzi nas do spolszczenia miast.

Musimy tedy szukać dróg innych.

Z głębiny pokładów życia wiejskiego podnieść musimy wielką falę narodową i skierować ją ku miastu. W i e ś w y r u s z y ć m u s i n a p o d b ó j **h a n d l u** i p r z e m y s ł u.

Na zachodzie Europy to r u s z e n i e p o s p o l i t e dokonało się 500 lat temu; w Polsce dokonać się musi co rychlej obecnie: inaczej — wieś odcięta od miasta zagłuchnie, zniedołężnieje, zasklepi się i umrze.

Zdobycie miast dla kultury polskiej jest dla narodu naszego koniecznością życia. Jest to dla narodu naszego b y ć a l b o n i e b y ć.

Kto dzisiaj staje nam wpoprzek drogi, usiłując tę falę wielką zawrócić i cofnąć wstecz; kto staje przeciwko nam z morałami na temat miłości chrześcijańskiej, ten lepiej odrazu niechaj narodowi polskiemu każe położyć się do trumny, bo niemasz dlań innej drogi życia, jeno ta, która wiedzie ku miastu polskiemu. Te wszystkie gałęzie przemysłu i handlu, które dziś uprawiają Żydzi, przejść muszą w ręce polskie: oto hasło nasze na wiek XX.

---

niema już „osób trzecich" a ztąd niema materjału do ustępstw i kompensat terytorjalnych.

Młode państwa bałkańskie na placach zwycięzkich bitew oświadczają korespondentom prasy zagranicznej. „Co weźmiemy — to nasze!" — Oczywiście, trudno sobie wyobrazić, aby matki bułgarskie i czarnogórskie traciły na polu chwały po czterech synów tylko w tej myśli, by krwią serdeczną kupione ziemie ofiarować temu lub owemu mocarstwu jako kompensatę, za łaskawe przyglądanie się widowisku.

Hasło bałkańskie: „Co weźmiemy — to nasze!" może się okazać zaraźliwym. Będzie ono może jedyną już możliwą podstawą podziału, bo o zgodę tak trudno! O kompensaty również coraz trudniej. Nastały czasy okrutnej posuchy. Czyżby trzeba aż sięgać po Turcję azjatycką i afrykańską? Czyżby te same mocarstwa, które tak czujnie strzegły Turcji na Bałkanach, by uniknąć kosztownych procesów o spadek, miały ją teraz po rzeźnicku dobijać w braku innego żeru?

Jeśli tedy Europa — *zgodnie ze swymi tradycjami* — będzie za cudzy przelew krwi wystawiała rachunki o odszkodowanie dla siebie, będzie ich musiała *wbrew tradycjom* szukać bliżej, może z bronią w ręku, nie na osobach trzecich, bo tych — jak widzimy — już niema, lecz na osobach drugich, to jest na najbliższych sąsiadach, na własnych lądach i morzach.

Dwie rocznice.

Przeżywamy w tygodniu bieżącym dwie rocznice uzewnętrzniania się pracowitej myśli narodu.

Pierwsza z nich tchnie dumaniem o dawnej z przed pół wieka epopei, w której zdobywcza walka nauki naszej po żmudnej siedmioletniej batalji zakończoną została rozpuszczeniem kadrów pracowniczych i te odtąd już nie przez planowe kampanje, lecz w tyraljerkę, jednostkami po kraju całym rozproszonymi, malejącymi stopniowo, ale po dziś dzień pozostałymi weteranami, snują nadal poszczególne jeno zamierzenia pierwotnego dzieła, przedzachodowe już niestety.

Jest-że to hasło nienawiści wobec Żydów? Niedorzeczne pytanie!

Nie przed Żydami, zaiste, nie przed Żydami się bronimy, ale przed śmiercią własną i upadkiem!

Azali i tego nam nie wolno?

Trudno, bez wątpienia, byłoby nam dzisiaj zdobyć się na życzliwość dla Żydów. Stokroć jednakże trudniej — wyznać to musimy — byłoby nam dzisiaj ich — nienawidzieć.

Nie czujemy dla Żydów nienawiści, bo zbyt wiele nienawidzieć jesteśmy zmuszeni — w Polsce: nienawidzimy jej słabości i przeklinamy jej upośledzenie; nienawidzimy jej ciemnoty, jej zaniedbania, jej odłogów, jej nędzy, jej ran niezagojonych...

Jakże mielibyśmy jeszcze nienawidzieć Żydów? — My tylko ich bojkotujemy: zaś bojkot to — nie kwestja uczuć; to—kwestja rachunku.

Nienawiść jest postawą serca, gdy tymczasem bojkot jest postawą — kieszeni.

Cała nienawiść nasza i całe ukochanie zawarte jest w kręgu naszego narodu, w kręgu pracy dla naszej narodowej przyszłości.

Przekonanie to wypływa nie z egoizmu lub wyłączności narodowej, ale z wiary, że kultura polska, snując własny wątek twórczości, w ten sposób najlepiej przysłuży się innym, że wyłoni z siebie ideały, w których słońcu kiedyś ludzkość ogrzewać się będzie tak, jak dziś my ogrzewamy się w słońcu kultury francuskiej, włoskiej lub angielskiej.

W. Rzymowski.

Iluzjonizm dyplomacji.

Jednym z przesądów politycznych jest ślepa wiara w potęgę dyplomacji. Według tego przesądu politykę zagraniczną rządzą panowie Poincare, Sazonow, S. Giuliano i t. p. a czego oni nie chcą, to się nie stanie.

Fakty uczą nas, że zgoda dyplomatów bynajmniej nie jest wystarczającą dla uzyskania zgody odnośnych państw, narodów i krajów; że nawet to, czego wszyscy oni pragną jednomyślnie, czasem wcale urzeczywistnić się nie da. Dyplomaci tak samo nie decydują o kierunku polityki jak inżynierowie o kierunku biegu rzek.

W polityce istnieją również pewne naturalne warunki i samorzutne w tych warunkach ewolucje, których najchytrzejsza dyplomacja zahamować lub wstecz cofnąć nie może. O ich przebiegu i wyniku decyduje zawsze ustosunkowanie sił, a zmiany w tym ustosunkowaniu dokonywają się poza obrębem wpływów dyplomacji. Nie może ona normować ani przyrostu ludności, ani wzmagania się lub zanikania ekonomicznej sprawności narodów, a tym mniej takich zjawisk jak wzrost kultury, uświadomienia, patryjotyzmu, wzrost lub upadek moralności w kraju—a wszystko to są warunki rozwoju lub upadku potęg politycznych.

Mimo, że nie bez racji podejrzewa się z góry dyplomację o posługiwanie się mową i drukiem dla ukrywania własnych myśli, a wprowadzania w błąd cudzych, nie można mieć najmniejszych wątpliwości, że koncert mocarstw europejskich stale w ciągu ostatnich lat czterdziestu usiłował utrzymać status quo na Bałkanach Począwszy od Kongresu berlińskiego leżało to w interesie wszystkich. Mocarstwa znacznie więcej zyskiwały na ekonomicznym eksploatowaniu Turcji i innych państw bałkańskich niż na zmianach terytorialnych, które groziły zachwianiem równowagi i zaprzepaszczeniem w kosztach wojennych wszystkich zysków, jakie z operacji bankierskich na półwyspie osiągnąć było można. Ta budująca zgoda mocarstw utrzymywała przez blisko pół wieku

---

Takim dumaniem tchnie rocznica pięćdziesięciolecia Szkoły Głównej, trwającej od roku 1862-ego do 1869-ego. Miała ona Szkoła, według słów organizatora swego hr. Wielopolskiego: „u źródła, jakiem są wzrastające pokolenia, wydobrzeć społeczność naszę oddawna schorzałą".— „Wydobrzeć" wręcz, dla powodów niezależnych od niej, nie mogła, lecz o ile była w stanie „zleczała myśl" polską szeregiem swych pracowników-profesorów i wychowańców, szeregiem indywidualności wybitnych na wszystkich polach trudów kultury dla społeczeństwa.

I oto pod koniec roku bieżącego 1912-ego, gdy niezliczna już garść gwardji Almae Matris Varsoviniensis rozaureola się w oczach naszych chlubnymi szewronami zasług, ciężko zdobywanych w „ojczystej potrzebie", — jawi się, jak nowa jutrzenkowa pobudka do dalszych czynów, rocznica druga: założenia Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, instytucji społeczno-naukowej, ideowo spadkobierczej jakby po Szkole Głównej, acz o charakterze swoistym bo śmiało mogącym dźwigać godło — „Naród sobie".

Na oczach starych weteranów nauki i szluki, a w części nawet jeszcze pod ich przewodem ruszają w bój myśli polskiej szeregi pokoleń młodych.

Są w tym zjawisku, poza zetknięciem się dwóch wypadków jubileuszowych, są w nim i

... Słowa — ciche, te, co przy duchu spoczęły
I od ojca na syna w ostatniej schodzą godzinie....

aliści jest i głęboki, nieodparcie konsekwentny fakt pragmatyzmu dziejowego, jest „prawdy rytm — — ton harmonji" która przewodniczy nie tylko narodom, ale i światom.

Bo „w *człowieka* życiu są chwile próżne, chwile czcze... ale w żywocie *prawdy* chwil takowych niema, jedno jest *ciąg*".

Wydawnictwa młodzieży.

Wśród młodzieży szwajcarskiej i niemieckiej istnieje tradycyjny zwyczaj święcenia pomyślnie zakończonego egzaminu dojrzałości komersem, na który obowiązkowo zapraszani bywają profe-

dogorywającą Turcję przy życiu, była ona dla „chorego człowieka“ kamforą. Do ostatniej chwili nie zaprzestano aplikować tej kamfory. Żądanie reform pod gwarancją państw europejskich — toż to oklepana treść wszystkich not wymienianych z Portą Otomańską od lat kilkudziesięciu, ś r o d e k w y p r ó b o w a n y j a k o n i e s k u t e c z n y. Jednych reform Turcja przeprowadzić nie mogła, innych nie chciała. Wojna wewnętrzna była dla Turcji stanem chronicznym.

Natomiast drobne kraje bałkańskie są to potęgi rosnące a stąd zmuszone wywalczać sobie miejsce i pole rozwoju tym więcej, że żadna z nich dotąd jeszcze nie objęła całego swego etnograficznego obszaru.

Weźmy taką Grecję. Żadna najsprytniej przez dyplomatów obmyślona reforma nie mogła jej zastąpić przyłączenia Krety, która była od wieków i jest wyspą grecką, chce nią być, a dla utrzymania pokoju i status quo na Bałkanach stale była poświęcaną. Ta *aneksja* była historyczną koniecznością, choć może zarazem początkiem rozbioru Turcji. Trudno sobie nawet wyobrażać, aby na tej jednej zdobyczy młoda Grecja poprzestać mogła. Podawana przez pisma angielskie statystyka żeglugi w cieśninach Dardanelskiej i Bosforze wykazuje, że Grecja zajmuje pierwsze miejsce co do liczby okrętów, choć ustępuje Anglji pod względem ogólnej jej pojemności. Już to samo zdradza, że mamy tu do czynienia z rosnącą potęgą morską i handlową, której i tradycje i geograficzne położenie wskazują naturalną misję i pole rozwoju. Naród wyspiarski, o ile znajduje się w fazie wzrostu a nie zaniku, musi sobie szukać portów, stacji węglowych, dróg morskich, punktów handlowych na wybrzeżach, gdyż jest to dla niego taką samą potrzebą istnienia jak dla narodów lądowych linje kolejowe. Równie poważne i przekonywające usprawiedliwienie swej zaborczości i wojowniczości mogą i inne państewka Bałkańskie przytoczyć. Każde z nich póty tylko godziło się ze status quo, póki wiedziało, że go nie może na swoją korzyść zmienić.

W polityce rozstrzygającym czynnikiem nie są gabinety i ministerja lecz ludy i to nawet bez względu na to, czy ministerja są odpowiedzialne, czy nieodpowiedzialne przed izbami przedstawicielskimi, choć oczywiście świadomość swej potęgi i celowe posługiwanie się nią wzmaga u ludów jej napięcie i decydujące znaczenie.

Bezsilność dyplomacji europejskiej w sprawie zażegnania pożaru może wyjdzie na jaw również przy próbach zlokalizowania go. Europa paraliżowała ruchy wojenne, ale ich jednak zlokalizować nie zdołała, boć jasną jest rzeczą, że dzisiejsza wojna bałkańska jest dalszym ciągiem akcji rozbiorowej, przez Włochy zapoczątkowanej. Obecnie też sama Europa, która starannie gasiła iskry, mogące afrykański ogień na grunt europejskiej Turcji przenieść, będzie równie pilnie strzegła, aby z płonącego półwyspu nie rozszerzyły się płomienie na środkową Europę, potym straż pożarna czynić będzie wysiłki, by ze wschodu pożoga nie przeniosła się na zachód — zawsze ze skutkiem proporcjonalnym nie do zabiegów dyplomacji, lecz do interesów, dążeń i prężności sił u zainteresowanych państw i ludów.

Rola dyplomacji zacznie się dopiero wtedy, gdy przyjdzie do zaregestrowania faktów dokonanych. Same fakty dokonywają się i wiążą w łańcuch przyczynowy poza obrębem jej władzy a nawet często i jej świadomości.

Jan Tarczewski.

W delegacjach austrjackich.

Jeszcze raz społeczeństwo polskie ma sposobność przekonać się o zupełnym zaniku poczucia obywatelskiego u oficjalnych przedstawicieli naszej polityki w osobach polskich członków delegacji austryjackiej. Nie sprawy polskie, nie gwałty pruskie wołające o pomstę, lecz widoki państwa austryjackiego u tych polityków mają pierwszeństwo; nie barbarzyński rabunek naszej ziemi, nie kwestja wywołania jaknajtęższej odpor-

sorowie, ci zwłaszcza, których z opuszczającymi szkołę uczniami łączył jakiś serdeczniejszy i bardziej zażyły stosunek. Jestto niejako dzień „wyzwolin“.

Byli uczniowie przywdziewają oznaki swych tajnych, niedozwolonych w szkole średniej korporacji, i bezkarnie wtajemniczają swych wychowawców w dzieje swej młodocianej „przeszłości“, niekiedy bardzo „interressant und geistreich“, a profesorowie, zwłaszcza gdy komers się przedłuża, z kolei opowiadają młodzieży historję lat swych studenckich, — obfitujących w zupełnie podobne „grzechy dzieciństwa“.

U nas, w Polsce, młodzież inne, idealniej zrozumiane komersy wyprawia przełożonym. Lecz, podczas gdy w dwudziestu dwuch kantonach szwajcarskich, nie znalazłby się ani jeden obywatel strofujący abiturjenta za dość ryzykowny czasami debiut „bez przyłbicy“, oto co pisze o „obyczajach szkoły polskiej“ — *Słowo*:

> Galicyjskie gimnazja, będące już lat czterdzieści pięć szkołami polskiemi, wydają nieraz drukiem roczne sprawozdania swej działalności, ozdobione pracą naukową którego z wybitniejszych i ambitniejszych nauczycieli.
>
> W młodej szkole polskiej Królestwa inny poczyna ucierać się obyczaj. Tu z ambicjami popisania się przed szerszą publicznością występują chętnie uczniowie, a stało się niemal modą, że maturzyści uważają za swój honor i obowiązek wydawanie grubych woluminów prac swoich, na które złożyło się dużo cierpliwości i sporo gotówki. Ostatnio wychowańcy dziewięciu szkół naszych wspólnemi wysiłkami zdobyli się na obszerny tom, drukowany [illegible] a wydany pod tytułem „Bez Przyłbicy“.

Słowo gubi się w domysłach, iż „ci młodziutcy autorowie posiadają „stosunki“ w prasie niemal „potężne“, że kierują się oni „ambicjami“, że są „synami redaktorów“ lub też z synami wydawców i redaktorów kolegują i t. d. Wogóle, *Słowo*, stara się „unieszkodliwić“ na przyszłość pomysł młodzieży, która pierwszy swój dorobek duchowy, przemyślany w szkole polskiej, przedstawia do oceny społeczeństwu polskiemu, — i gniewa się na prasę „która, obojętna dla płodów talentów dojrzałych, dzieła maturzystów, traktuje z wielką pobłażliwością“. *Słowo* jest zwolenni-

ności wśród całego społeczeństwa bodaj przez zatarg i walkę z rządem austryjackim będącym w przymierzu z państwem gwałtu i dzikiej przemocy, lecz troska o to, by, broń Boże, nie narobić jakiegoś kłopotu swemu rządowi, któremu zależy przecież na utrzymaniu trójprzymierza w czasach tak niepewnych.

Ach wy, Austryjacy polscy!

Myślicie, że są w Austrji ludzie naiwni, którzy uwierzą w waszą austryjackość, w to, że naprawdę bezinteresownie boli was głowa o dobro waszego państwa?

Nie — wam chodzi o to, by nie narazić sobie wysokich sfer, z którem za wszelką cenę gotowi jesteście dobre stosunki utrzymać, bo zerwanie ich pociąga za sobą utratę nadziei tek ministerjalnych.

Śmieją się z was obcy i lekceważą.

Dr. Kramarz zadrwił z was, panowie, podziwiając wasze dobre wychowanie i potulność jagnięcą, kiedy to posła Białego przywołano do porządku za porównanie Prusaków do dzikich barbarzyńców.

A z waszego gołosłownego protestu drwią sobie Prusacy.

Owszem, wasze kiwanie palcem w bucie biorą za aprobatę, za moralne przyzwolenie wywłaszczenia u siebie waszych rodaków.

Jedyne miejsce na całym obszarze kraju naszego, jedyny moment w obecnych warunkach naszego bytu narodowego, gdzie z opinją przedstawicieli naszych jako tako się liczą — owe posiedzenia Delegacji — nie zostały użyte tak, żeby przynajmniej godności polskiej na szwank nie wystawić, nie zostały użyte dla obrony naszych interesów polskich w sposób konkretny. Zmuszono natomiast hr. Skarbka do złożenia mandatu delegacyjnego, ponieważ miał zamiar kwestję postawić na ostrzu noża, i głosowano za budżetem ministerjum spraw zagranicznych bez zastrzeżeń.

Austryjackość wzięła górę nad polskością... bez zastrzeżeń.

Gdyby to było szczere, gdyby nie było to poprostu służalczością, możnaby sądzić, że Austrja dokonała zaboru nie tylko dzielnicy polskiej— Galicji, lecz — co gorsza — zaboru duszy polskiej.

Jakby się zachowali w takim wypadku Czesi lub Węgrzy?

Wstyd porównywać!

Zygm. Nowicki.

Z mroków duszy tureckiej.

(Zagadki ludowe).

— Namiot, kryjący zazdrośnie skarb mądrości odwiecznej narodu...

Albo:

— Słowa ojców, które nie wchodzą do Koranu, lecz równolegle z Koranem się szerzą...

Z taką czcią i miłością, jak na świętość, patrzą na swoje zagadki, przysłowia, sentencje i aforyzmy ludy turecko-tatarskie.

To też przechowały je z całą pieczą i w nieuszczuplonej obfitości, nie pozwalając zczeznąć i zmarnieć żadnemu ziarnu.

Żaden dział z całej twórczości turecko-tatarskiej nie może tak wszechstronnie i do głębi ująć ciekawej i oryginalnej duszy zbiorowej turka lub tatara, jak nieskończenie barwna i bogata dziedzina tego „co nie weszło do Koranu", wypływając nie z martwych doktryn religijnych, lecz z życia, które w całej pełni rozwijało się już przed Prorokiem i dostarczało nieprzebranego w swych przejawach materjału do czynienia wciąż nowych spostrzeżeń i uwag, notowanych skrzętnie i na całe wieki. Śmiało twierdzić można, że rozchylenie „namiotu, kryjącego zazdrośnie skarb narodu", rozwarcie go na oścież więcej dałoby i ukazało, niż uszeregowanie gołych faktów z dziejowej przeszłości i teraźniejszości...

Zagadki tureckie sięgają, jak widać z naiwnej bezpośredniości i prymitywności najstarszych z nich, bardzo odległych czasów. Z biegiem stuleci tę-

kiem systemu dwustopniowego w stosunkach młodzieży do społeczeństwa, a ideałem informatora o dążeniach, rozwoju umysłowym młodego pokolenia jest dlań c. k. galicyjski formularz. Jeżeli zaś młodzież już koniecznie pragnie manifestować swą indywidualność, ma oto według *Słowa* wdzięczne pole do popisu: niechaj wykaże swe wyrobienie życiowe, zdając maturę raz jeszcze, — tym razem rządową.

Trudno dziwić się prasie warszawskiej, iż pod pewnym względem większą wagę przywiązuje do materjału nagromadzonego w zbiorowym wydawnictwie „Bez przyłbicy", niż do publikacji c. k. Wydziału krajowego. W szkole galicyjskiej, pomimo jej „wysokiego stopnia doskonałości", istnieje ogromnie wysoki mur graniczny pomiędzy ciałem profesorskim a uczniami.

„Sprawozdania o działalności gimnazjów galicyjskich", „którychby się żaden uniwersytet nie powstydził" wstydzą się jednak widocznie niektórych zjawisk wyrosłych na tanie c. k. pedagogiki, gdyż z prawdziwie akademickim lekceważeniem pomijają kwestję tak częstych w Galicji samobójstw szkolnych, strajków i zaburzeń wśród młodzieży, lub też tłomaczą je, jak zresztą wszystko w Polsce się tłomaczy, — „wpływem obcym". Zresztą nauczycielstwu galicyjskiemu, gdy tylko przejawia jakąkolwiek niezależność sądu, zamyka usta c. k. prokuratura. Kto chciałby zapoznać się z istotnym charakterem dorastającej młodzieży galicyjskiej, dowiedziałby się z wielkim zdziwieniem, że tam, za kordonem nawet takie wydawnictwa jak „Bez Przyłbicy" bywają przezornie wydawane w tajemnicy, na hektografach, co bynajmniej nie świadczy dodatnio o stosunkach szkolnych.

Pomimo wielu wad, szkolnictwo prywatne w Królestwie stoi wyżej, przynajmniej pod względem atmosfery wzajemnego zaufania między wychowawcą i uczniami. Gdyby nasze sfery pedagogiczne, do których należą wybitni lingwiści, matematycy, przyrodnicy, inżynierowie i ekonomiści, ujęły w swe dłonie kierownictwo takich wydawnictw maturzystów, rozszerzyły je i odpowiednio usystematyzowały, mielibyśmy bardzo cenne dopełnienie wystaw szkolnych, które zyskały już u nas prawo obywatelstwa. Pomysł młodzieży był dobry, należy się nim tylko zaopiekować.

żeją i w treści i formie, wylewając się w najbardziej wypieszczonych rodzajach wiersza, a pod względem myśli docierając do głębi rozumu i mądrości narodowej, wypowiadającej się w nich o wszelkich zjawach otaczającego świata.

U ludów turecko-tatarskich przysłowie i zagadka mnoży się i rozwija po dziś. Z jednej strony to trwanie w okresie najprymitywniejszej twórczości usprawiedliwia się przez słabe wpływy kultur wyższych, z innej znowu przysłowie i zagadkę przechowuje i tworzy tradycja, odpowiednio gimnastykując i urabiając w jej kierunku pamięć i umysł oraz zamiłowanie artystyczne narodu.

Do najulubieńszych rozrywek wśród ludów turecko-tatarskich należą trydycyjnie praktykowane zebrania, na których odbywa się gra w przysłowia lub zagadki. Są to istotne walki i zażarte boje, gdzie pociskami bywają ziarna mądrości zbiorowej, a bronią zwycięzającą i odpierającą napaść, pamięć i gibkość umysłu uczestników. Towarzystwo dzieli się na dwa obozy, walczące o większą ilość zadanych i odgadniętych zagadek, a często poważna wygrana, mająca przypaść w udziale zwycięzcom, wzmaga żar bojowy i ogniem hazardu rozpala serca. Zdarza się niekiedy, że gra w zagadki przeciąga się przez kilka wieczorów, i cała wieś lub nawet okolica z niecierpliwością, interesując się każdym zwrotem walki, oczekuje na wynik turnieju.

W ten sposób tradycja przechowuje przysłowie i zagadkę, dorzucając do dawnych wciąż nowe i budząc ku nim zapał, miłość i przywiązanie.

W Turcji przysłowia i zagadki przetrwały wszystko. Zrośnięty z niemi i wyrosły pośród nich Turek obronił je przed różnemi zakusami i niebezpieczeństwem. Nie zmarnowały mu ich ani wpływy arabskie, ani perskie, ani nawet pogarda dla twórczości ludowej wyższych oświeceńszych warstw tureckiego narodu, kóre gardząc wszystkim, co własne, nie ośmieliły się jednak targnąć na „słowa ojców".

Przysłowia i zagadki coraz częściej i gęściej zaczęły lśnić, jak brylant, wśród rozwijającej się literatury książkowej, wywierając swój przemożny wpływ i na poezję i na prozę...

Przyjrzyjmy się zatem choć niewielkiej przygarści tych ziaren, co pierwsze padły na ugorną niwę twórczości tureckiej, wydając zdrowy czysty i niezwarzony przez chłód obcego wichru plon nieprzebrany.

Zacznijmy od zagadek, w których naród wypowiada się o człowieku i otaczających go zjawach świata i natury:

Z początku ma aż cztery nogi,
na dwóch najwięcej ujdzie drogi,
na trzech zaś, idąc bardzo wolno,
pielgrzymkę kończy już mozolną.
Człowiek.

Pełna smętu i głębokiej zadumy zagadka, ujmująca przez swoją szczerość i prostotę. W obrazie czterech, dwóch i trzech nóg jakgdyby widzi się człowieka — dziecię, człowieka dojrzałego i człowieka — starca, co na trzech nogach, bo o kiju, kończy mozolną pielgrzymkę życia. Zagadka powyższa może być jednocześnie wspaniałem stwierdzeniem czaru i uroku poezji w najprymitywniejszych nawet przejawach twórczości ludzkiego ducha.

Nie do trzepania kobierzec,
choć wielką miałbyś ochotę,
nie do zsypania kamyki,
choć cenne bardzo, bo złote...
Niebo i gwiazdy.

Wabiąca plastyką zagadka o niebie i gwiazdach zwraca jesze uwagę formą akrostychicznego rymowania (nie do trzepania — nie do zsypania) niezależnie od rymowanych końcówek (ochotę — złote). To cyzelowanie zagadek i chęć przystrajania ich w najzdobniejszą i wyszukaną szatę wierszy stwierdza w sposób oczywisty pełen pietyzmu stosunek twórcy do dzieła, o czem mówiliśmy na początku, podkreślając umiłowanie i wypieszczanie zagadki i przysłowia przez turecko-tatarskie plemiona.

Powiedz dwa słowa
na dwie wielbłądzice:
Jedna się chowa,
[illegible]
Słońce i księżyc.

Pełna kolorytu zagadka, ujmująca i słońce i księżyc, dwie latarnie błękitu, w postaci dwóch wielbłądzic, kolejno na zmianę chowających się wśród bezkresów.

Mrok *stado złote* wygonił,
Świt *stado złote* roztrwonił.
[illegible]

Znowe specyficzna właściwość ludowej pozji tureckiej, w której powtarzanie wyrazu lub wyrazów środkowych stanowi kunsztowną ornamentację wiersza.

Prócz tego zagadka powyższa jest jedną z najstarszych, jak zresztą u wszystkich ludów Wschodu i Zachodu, gdzie porównanie gwiazd do złotego stada, lub złotych owiec znajdujemy w pierwocinach wszelkiej ludowej poezji.

Nie dostanie
na straganie,
życie ludziom słodzi,
któż jest ten dobrodziej?
Sen.

Liryczna, z odcieniem smutku zagadka, obok której znajdujemy drugą jeszcze na ten sam temat, bardziej przejrzystą i, jak należy przypuszczać, znacznie wcześniejszą.

Przyjdzie, zmoże, a gdy zwali,
to nad ranem idzie dalej...
Sen.

Dwunastu synów ma stary bej,
a czem się różnią, posłuchać chciej:
trzej — surowi i okrutni,
trzej — weseli, nigdy smutni,
trzej — jak czasem i jak kiedy,
trzej — zasobni zawsze w schedy.
Zima, wiosna, lato i jesień.

Ciekawa przez charakterystyczną ocenę pór roku zagadka, niepozbawiona swoistego kolorytu tureckiego.

Coś, co niema cienia
i kształtu nie zmienia.
Woda.

Bez cienia, jak cień
[illegible]
Dźwięk.

Obie powyższe zagadki, choć różne w treści, architektonicznie jednak zbliżone, gdyż jednakowy szczegół stanowi w nich punkt wyjścia przy rozwiązaniu. Wskazuje to, pomiędzy innemi, na to, jak pod wpływem jednej zagadki i na jej gruncie kształtowały się i powstawały inne.

(d. n.) *Remigjusz Kwiatkowski.*

Listki płonące.

W dzień, kiedy na płowych włosach swej nieszczęsnej gwiazdy zawiśnie ostatni Don-Kiszot polski — pójdziemy dalej i — ziemio moja! — zasiądziesz w rodzinie ludów pierwszych, *inter pares-par.*

Na wszystkich włóczniach wątpienia o dzisiejszych podnoszę tę wiarę w jasną przyszłość kraju.

Anim „prorok“ — ani jasnowidz.

Ale szukałem Boga, Boga mając w piersi.

Dlatego wierzę...

* * *

Jak tu opornie dojrzewa ozime życie! Dziwna gleba. Zda się, już tak głęboko dowiercona i zbronowana! Miarą tej otchłani jest wielka sztuka polska. Tych kwiatów zła jest tyleż, co — zła. Niema pieśni *jako takiej.* Wysokości jej lotów odpowiada zawsze głębokość snu, w jaki się pogrąża społeczeństwo.

Inne przerywania ciszy — świegoty rannych ptaków — mówią tylko o dniu, znojnym, ciężkim dniu polskim.

* * *

Tu można (mówiono niegdyś „godzi się“) własny talent unicestwić. Grzechem żądać uznania, narzekać na obojętność ogółu — kto wie — nawet budzić smutnych i zbłąkanych.

Trzeba ogromnej, zawsze czujnej miłości, miłościwszego jeszcze — rozumu. Do ludzi w Polsce najciemniejszych zaliczam tryumfatorów literatury, sztuki, społecznego gestu. Nigdzie nie przychodzi sława tak szybko, nigdzie tak trudno utrzymać ją w ręku, nigdzie też za zmiennością usposobień czytelnictwa nie przemawiają nakazy pierwsze: publicznego sumienia.

Za jedną możliwą, ustaloną formę realnego bytu miljonów można bez żalu oddać stu pisarzy i artystów wszelkiej broni, jeżeli oddawać trzeba. Konieczność tej ofiary potwierdza zawsze czas — milczeniem...

Ah, ta maleńka, ta nędzna, licha rzecz, że tam kogoś nie przeczytano!

Stu poetów za jeden samorząd!

Dumą polskiego artysty powinna być świadomość czasu najgłębsza, na jaką się mógł kiedy zdobyć mędrzec. Taki kraj — czas — mus

* * *

To kraina posępnej baśni, gdzie zawodzi wszystko — wszystkie pomysły, nadzieje jednego miesiąca, jednego jutra. Czują tu ludzie tak, jakby z każdym dniem zawierało się nad nimi wieko całej epoki i trzeba było od jutra rozpoczynać pieśń swego życia od brzegu.

Jak tu żyć bez ciągłości i tradycji! I to ludzi szarpie, jątrzy, zniekształca i pustoszy charaktery.

Co do mnie — na nikogo nie liczę, na nikim nie buduję.

Dość stąd wyjechać na kilka lat, by wrócić zapomnianym. Kilka roków polskich to już cała wieczność. Gdyby przynajmniej płodna!

Rychło, rychło odchodzi tu w niepamięć koleżeństwo szkolne, stosunki, wspólna praca. Polskie Parki inną żywo, z gorliwością — partactwa. Wcześniej, niż wszędzie, ubożeją, zacieśniają się w interesach swoich ludzie, po których obiecywano sobie światy. O tych, których jedyną cnotą było kilka chwil młodości — nie mówię.

Nigdy niewiadomo, czy to coś zostało wreszcie stworzone, raczej zawsze wiadomo, że wszystkie wysiłki dzisiejsze będą jutro utracone całkowicie.

Pewność taka daje ogromną swobodę. Chodzi się jak po cmentarzyskach. Jest gdzie wichrom pohulać. Pełno żwiru mam w krtani. Czy to tylko — nie pustynia?

* * *

Nowonabyta własność obyczajowa: przeszacowanie nagości faktów. Fakt i kropka. Fakt bez ojca i matki, fakt bezpotomny, gotowy jednak do spożycia.

Chętnie, żarliwie przełamuje się dziś klingę zdarzeń nad głową jednostek, jak szpadę nad pozbawionymi szlachectwa.

Tak sromotnie zagubić się w faktach mogą tylko urodzeni ślepce. Jakże to rodacy? Gdzie przewina? I czyja przewina? Kamienować już ukamienowanego! Przecież to...

Co? Nic, nie wiedziałem tylko, że do niektórych wykopanych tymi czasy studni słońce już nie schodzi.

Nie każdej rzeczy można nadać imię. *Nazywać rzeczy po imieniu* — ależ to znaczy odbierać im wszelki kształt brzydoty!

Czy miałem powiedzieć, że to są „czasy hańby?“

Myślę inaczej: żyjemy w czasach... sławy.

Nie naszej...

Avanti.

KRYTYKA.

Czy jesteśmy indywidualni?

Młody poeta lub beletrysta, wydając swój pierwszy tom, sądzi nieraz, że dokonał czynu wypowiedzenia się bezwzględnego. Zdawało mu się w chwili tworzenia, że przebywał w krainie najzupełnie wolnej, że nic nie uciskało mu piersi, że dotarł do samego siebie, niby podróżny do źródeł Nilu. Lecz ta kraina wolna i bezludna, gdzie człowiek czuje się samotny i nie napastowany, w rzeczywistości nie istnieje. Kto wkracza w dziedzinę twórczości pisarskiej, wstępuje w istocie do krainy nałogów, naraża się na tysiące pokus i nawoływań. Gotowe fragmenty twórczości, doskonałe cnoty, wypróbowane zalety, przedziwne gatunki uczuć—wszystko to wiruje naokół, ciśnie się natrętnie, oddaje bezinteresownie, ręczy za skutek. Natura pisarza jest nadzwyczaj chłonna, a zacząć pisać, to znaczy narazić się na wściekły atak gotowych już fragmentów i wypróbowanych wartości intelektualnych oraz uczuciowych. Nie trzeba się łudzić, że z tej walki wychodzi się często zwycięzcą: historja nie tylko

talentów mniejszych, lecz wielkich wykazać by mogła olbrzymie na tym polu klęski. Tu odporność zależy od aktywności filozoficznej, od żądzy tworzenia świata na własną odpowiedzialność. Skutecznie opędzać się i obronić siebie może tylko ten, kto nie jest filozoficznie biernym. Gdzie jest maximum aktywności filozoficznej, tam tylko, może być minimum zatraty swego *ja*.

Jak się zachowuje wobec dobrych i złych wieści ze świata pisarz aktywny? Jak przyjmuje zalety wypróbowane, cenne, szlachetne wzniosłe? Jak patrzy na grzechy odrażające? Nie inaczej, jak z najgłębszą ironją, lekceważeniem, niedowierzaniem, badawczą otwartością. Nic z tego nie jest dla niego dogmatem, wiarą, rzeczą sprawdzoną. Nie pochłania on tego, jako skarbów gotowych, lecz traktuje jako rzecz, przez kogoś niegdyś przeżytą. To tylko jest do przyjęcia i przekształcenia, co może być osobiście przez autora przeżyte. Uczucie najszlachetniejsze, naprzykład przyjaźń, poświęcenie jest martwą zagadką bez wartości dla każdego, kto nie jest zdolny sam je przeżyć. Namiętność śmieszna, naprzykład skąpstwo, nie jest śmieszną dla tego, kto jest przez nią głęboko opanowany, kto do pewnego stopnia jest nią. Oto przykłady tej nieustannej twórczości wewnętrznej, która jest zaprzeczaniem tablic ustanowionych wartości i ustanawianiem nowych hierarchji uczuć, namiętności i prawd intelektualnych. Ta baczność nieustanna, aby nie przyswajać sobie rzeczy cudzych, poczucie niebezpieczeństwa z powodu szybowania w powietrzu mnóstwa cnót skrzydlatych, mar kuszących, strzyg zalotnych jest stałą cechą pisarza aktywnego, broniącego się przed obowiązującymi wzniosłościami i nakazami krzepiącymi. Od tego wieczystego stania na pogotowiu wytwarza się paradoksalność, która jest niczym innym, jak śmiechem, parskającym w oczy napuszonej i uznanej cnocie i powadze, a działa na umysły aktywne niby strumień świeżego powietrza, wpuszczony do zadusznej izby.

Probierzem, czy ktoś jest pisarzem aktywnym czy nie, jest fakt, jak się kto zapatruje na paradoks. Gdzie paradoks uznawany bywa za dziwactwo, igraszkę, tam występuje na scenę pisarz bierny. Tu ideał, cnota, zbrodnia jest już gotowa. Poszukiwania tracą wartość. Alchemja uczuć staje się stereotypową. Wszelkie dążenie, aby inaczej łączyć i spajać pierwiastki i wytwarzać nowe związki — zostaje zaniechane. Co było dla pisarza aktywnego niebezpieczną pokusą: gotowość wszelkich wartości, tu się staje skarbnicą, zkąd, czerpać można pełnymi rękoma. Stronice dzieł pisarzy biernych są oranżerjami pełnymi kwiatów, kradzionych z cudzych ogrodów, kradzionych dlatego, że te kwiaty są zbyt piękne. Obok rzeczy osobistych, głęboko przeżytych jaśnieją tam rzeczy wzięte na wiarę skutkiem nacisku opinji, gdy samodzielność autorska się załamała i opadły go natrętne szataniki wartości wypróbowanych. Rzec można, że u pisarzy biernych bystre oko odnajdzie niejedno uczucie źle dopasowane do indywidualności. Małą tragedją, jaką przeżywa umysł tego rodzaju, jest wyrzeczenie się pewnej części swego *ja*, która się właśnie różni od zastanej rzeczywistości, złożenie jej w grobie i skropienie łzami wzniosłej ofiarności.

Dopiero w zastosowaniu do umysłów biernych nabiera prawdy i wartości nieraz słyszane zdanie, że ten lub ów wielki twórca wyjałowił glebę na całe dziesiątki lat. Natury bierne, olśnione faktem, że wielki pisarz dostarczył obfitego zasobu gotowych pojęć, uczuć i obrazów stają się jeszcze bierniejsze, ponieważ mają skąd czerpać i czym się żywić. Fakt, że po epokach wielkich twórców nastaje epoka wyczerpania, tłumaczy się tym, że zbyt wielka obfitość gotowych idei i war-

Dwa południa.

ALEKSANDER SZCZĘSNY.

I.

Wiatr firankę białą w oknie zwiewa,
Od ulicy turkot głośniej bije, —
Ptak ku słońcu w klatce czasem śpiewa,
Od ulicy zegar zdala bije.

Każdy sprzęt w pokoju jest znużony,
Pod jaskrawą ścianą stoi cicho,
Od podłogi, w słońcu, zakurzonej,
Pył złocisty płynie w okno cicho...

W małym kącie, gdzie się chwiejąc świeci
Iskrą białą takt zegara głuchy,
Twarz uśpiona pośród cieni świeci

Słychać oddech, owadów brzęk suchy,
Gdy uliczny gwar dalej uleci,
W przestwór miejski rozpalony, suchy.

II.

Patrząc na okien małych lśniące szybki szklane,
Wodę, która błyszczącym kręgiem stoi w misie,
Na świetną, niby płomień, pobielaną ścianę,
Sad i ścieżki, tonące w gęstym berberysie,

Patrząc na niebo, gdzie się w bezobłocznej głębi
Malenkiego ptaszęcia ukrył świergot cichy,
Kiedy kurz nad drogami ledwo że się kłębi,
A od pszczół drgają zgięte kwiatowe kielichy, —

Sam uczuwam znużenie wreszcie i na ziemię,
Słoniąc głowę rękoma pachnącemi miodem,
Padam.. — a kiedy z skrońmi nabrzmiałemi drzemię, —

Sny są jak słupy ognia idące ogrodem
Po trawach, drzew mijając rozłożyste brzemię,
Aż póki oko słońca przekrwi się zachodem.

tości uczuciowych demoralizuje nawet natury aktywne.

Naogół jednak pisarz aktywny, wierzący tylko w to, co sam przeżył i stworzył, patrzy na każdy wielki talent jako na jedno jeszcze niebezpieczeństwo więcej, na jeden jeszcze podszept kuszący i pokusę niewysłowną, a naśladować się stara wielkiego pisarza nie w sposobach wcielania, lecz w energji.

U nas bierność filozoficzna szerzy spustoszenia niezmierne.

Nasz indywidualizm jest złudną legendą. Wydobyta z osłon poetyckich filozofja tego lub innego pisarza zdumiewa swym charłactwem, brakiem spoistości, ognistego jądra, któreby wszystko przenikało tchem płomiennym. Wychodzi na jaw ułamkowość całej budowy, rozmaitość stylów, powiązanych na chybił trafił, byle się było dokąd schronić podczas ulewy.

Nadomiar tam, gdzie ratunek byłby możliwy tylko w gorliwym popieraniu przez krytykę zapędów samodzielnych, prób, aby patrzeć na świat własnemi oczyma, krytyka ugania się żarliwie za tropieniem niemoralności i chorób, uważając za chorobę to, jeśli się pewne przeżycie traktuje intensywniej, niż wypada według katalogu rang ustalonych. Obawa o nienaruszalność „duszy narodowej", która na podobieństwo mumji egipskiej ma zostać nie zmienną, jest często bodźcem tego rozgraniczania rzeczy na pożądane i niepożądane, które byłoby rzeczą tylko śmieszną, gdyby nie bałamuciło umysłów i tak z natury niezbyt samodzielnych.

Nie wszelkie jednak zapożyczanie się i naśladownictwo jest dowodem bierności.

Jeśli pisarz do wypowiedzenia pewnych związków uczuciowych stworzył pewien styl, a na widok tego stylu fala uczuć innego pisarza chlusta i znajduje nagle swe łożysko, jeśli się wita pewne rodzaje stylów jako swoje osobiste wyzwolenia, to takie korzystanie z cudzych narzędzi dla swoich celów powinno być poczytywane za rodzaj bardzo chwalebnej ekonomji, która nie chce marnotrawić czasu i wysiłków na stwarzanie powtórne tego, co już istnieje. Podobieństwo stylów świadczyć może zarówno o podboju jednego pisarza przez drugiego, jak o stanach analogicznych u różnych osób. Kto pisze prozą melodyjną — wie, że o napisaniu lub nie noweli rozstrzyga nieraz fakt, czy się zdoła skojarzyć kilka zdań w odpowiednim rytmie. Lecz rytm może być zapożyczony od utworu dawno zapomnianego w treści, lecz którego rytm przetrwał w pokładach podświadomych piszącego.

W ten sposób poniżej treści, jakoby w jej głębi dźwięczy muzyka, która obałamucić może ucho *muzykalnego* krytyka, zacierając istotne różnice uczuciowe i intelektualne. I oto powstaje złudzenie, że dwaj pisarze, maszerujący tylko przy dźwiękach tej samej muzyki, maszerują ponadto w tym samym kierunku!

Leon Choromański.

Ruch artystyczny.

Z teatru.

Teatr Mały (w Filharmonji) „Mistrz" sztuka w trzech aktach, przez Hermana Bahr'a. Mała sala teatru w Filharmonji była na premjerze „Mistrza" świadkiem widowiska o wysoko artystyczno-kulturalnym poziomie. Grano sztukę dającą się usegregować pod kategorję t. z. repertuaru „kameralnego". Utwory sceniczne tego typu zewnętrznie wymagają możliwie prostolinijnego uscenizowania dekoracyjnego, pozwalając jednocześnie — z racji absenteizmu skomplikowanej machiny wystawowej — na dokładne jakościowe

Bruno Winawer.

Z cyklu: „Sury".

MIT.

(pamięci Multatulego).

Do Ernesta Haeckla, spokojnie monistycznie filozofującego w Jenie, przyszedł Odyn bóg germański, otarł kraciastą chustką pot z czoła i rzekł:

— Coraz mi ciężej, coraz mi ciaśniej na świecie. Zewsząd pędzą, życia-m poprostu niepewny. Bóg widzi, nie mam wielkich ambicji: zadowoliłbym się byle czem, jeno żeby mieć wreszcie coś pewnego! Proszę pana, może mi pan jakie zajęcie wyszuka? Jaką taką posadzinę, byle *coś pewnego?*

— Przykro mi niewymownie, ale... — rzekł Haeckel.

Mój panie, niech mi pan nie odmawia! Pan jest wszechmocny. Niech mi pan jakie miejsce da — w Antropogenji? — w Zoologji?... Mój dobry panie!

Haecklowi zrobiło się żal boga:

— Hm. Zobaczmy. Jak się pan rozmnaża? — spytał.

— Co, proszę pana?

— No, mówię przecież wyraźnie *Jak się pan rozmnaża?* Rodzi pan żywe młode, czy też znosi pan jajka?

— Znosić jajka? — rzekł Odyn. — To mi dotąd na myśl nie przyszło.. —

— Może się pan rozmnaża przez podział? Odyn pocił się coraz więcej.

— Ja.. ja się rozmnażałem — rzekł wreszcie — przez głupotę ludzką...

Haeckel jął bębnić niecierpliwie palcami po stole.

— Tak, tak.. To każdy mógłby powiedzieć?.

— Nic się nie da zrobić dla mnie? — spytał trwożnie Odyn.

zharmonizowanie tego zakresu, — wewnętrznie zaś (a tu leży główny ciężar) polegają na precyzyjnie ustosunkowanym „tonie", który winien trwać możliwie niezmienny przez cały ciąg sztuki, tłumiący ostre kontrasty poszczególnych momentów, dyskretnie uwydatniający subtelność dialogu i jednolitością siebie pewną fascynujący. Sztuka „kameralna" przypomina miniaturę: taż czystość linji, toż lekkie podmalowanie tła, też barwy przezroczyste jakby.

„Mistrz" Bahr'a — jak naogół zresztą i inne sztuki tego autora — doskonale się nadaje do powyższego ujęcia i trzeba oddać należne uznanie reżyserowi tej nowości panu Jaraczowi, iż wszystkie swoiste walory sztuki uwydatnił w sposób wręcz wybitny. Miało się wrażenie teatru na modłę europejską, teatru świadomego swych zamierzeń, środków i celów. Pomijam już zewnętrzny, dekoracyjny wygląd sceny, tym razem nie tylko nie rażącej oko śmiesznym konwenansem brudnych płacht udających makaty, ale harmonijnie miłej, — lecz „ton" w jakim utwór od początku do końca został przeprowadzonym, lecz zespół (pomimo braku „świetnych gwiazd" Teatru Małego, a może z powodu braku właśnie) dochodził do poziomu pracy artystów potęgi dużej.

Była to *premjera na serjo*. Reżyser samym grającym dowiódł do czego są zdolni. Nie pamiętam, naprzykład, by p. Ratowski kiedykolwiek zaprezentował się tak korzystnie jak w roli d-ra Bolse'a. Scena, którą zagrał z p. Danilowicz w akcie drugim była jednym z najładniejszych momentów wieczoru. Artysta ten jest doskonałym materjałem o podłożu charakterystyczno-lirycznym, lecz do tej pory ani należycie nie był wyzyskanym ani pokierowanym odpowiednio; przerzucany z jednego zakresu na drugi (najczęściej niewłaściwie), błąkał się po omacku zdawkowo wykręcając się ze swych zadań, lub próbując na własną rękę eksperymentów niepewnych. Oby rola w „Mistrzu" była punktem wyjścia dla talentu p. Ratowskiego. Drugim, jeszcze młodszym, bo początkującym niemal artystą, w harmonijnym zespole był p. Chmielewski. Jestto również charakterystyczny aktor. W roli Kajetana wykazał intuicyjne panowanie nad gestem, bardzo szybkie postępy w obyciu się z rutyną sceniczną, brak mu tylko należytego posługiwania się swym rejestrem głosowym; typ zewnętrznie i wewnętrznie zakreślił linją pewną. Z innych młodych niepatentowanych ieszcze sił Teatru Małego do wybitnego zespołu „Mistrza" należały pp. Klońska i Danilowicz. Zakres talentu p. Klońskiej zapowiada się niezmiernie szeroko, jestto artystka o wielkim temperamencie i nerwie scenicznym, o czujnej intuicji, o zdolnościach rozległe charakterystycznych; jestto materjał pierwszorzędny zużywający się obecnie jak górski potok na płone choć śmiałe skoki i rozpylania migotliwe; artystka ta po pokonaniu swej techniki głosowej powinna przy umiejętnym kierownictwie stworzyć ze swych danych siłę sceniczną poważną. Rolę żony mistrza, leżącą niecałkowicie bodaj w zakresie swego talentu wyposażyła p. Klońska mimo to w ton zupełnie pewny, bardzo czujnie moderowany, wykwitający momentami ciekawej kobiecej psychy. P. Danilowicz przezwyciężyła rolę niezmiernie trudną, kunsztowną w swojej prostocie. Artystka uwydatniła cichy tragizm dziewczyny zawiedzionej, rzecz można, że z rzewną pieczołowitością, z pięknym bolesnym gestem niosła duszę swojej bohaterki jak izawicę, by kropli jednej nie uronić; tworzyła w sztuce głos przytłumionego, rozdzierającego liryzmu.

O panu Jaraczu jako o doktorze Kokoro, można napisać tylko tyle, że artysta ten dał kreację, — perłę, jak zwykle, pierwszorzędną. Tryumf jego jako aktora rywalizował jeno z tryumfem jako reżysera. Z reszty grających pan Kuncewicz acz starał się dostrajać do gry swoich poprzedników, nie zawsze obronną ręką wychodził w opresji, jakie dla tego artysty nawykłego grać solowo przed rampą, lub roztrącić partnerów wyrywaniem się na pierwszy plan, stanowiły warunki tak krępujące jak dyskrecja i jednolitość tonu. W każdym razie p. Kuncewicz w sztukach kameralnych mógłby grać (bo dykcję posiada nieskazitelną) pod warunkiem nagięcia się do pewnego elementarnego zresztą rygoru zespołowego i pamięciowego opanowania roli.

P. Szebeko swą maleńką rolę zbytecznie przejaskrawił, odskakiwał też od tła jak figurynka nalepiona na obraz. P. Lenartowicz acz potrafił wydobyć kilka tonów względnej sytuacyjnej możliwości, stanowczo winien się wyzbyć aspiracji

---

— Hm... Kręgosłup pan ma?

— Kręgo... słup? —

— Jamę brzuszną pan ma?

— ...

— Którędy pan przyjmuje pożywienie?

Milczenie.

Haeckiel wstał z fotela.

— Nic, zupełnie nic? — proszę pana? — jąkał Odyn. — Żeby choć jaką taką posadzinę?

— Moglibyśmy przyjąć pana na infuzorjum...

— O jej — westchnął Odyn.

— ... a raczej na żywą protoplazmę. Choć właściwie i to nie... Haeckel zastanowił się chwilę. —

Tak. Jedno tylko pozostaje. *Będzie pan siedział w komórce i myślał!*

— Ojej, ojej — jęczał Odyn. — Żeby mnie pan łaskawy zechciał gdzie koło człowieka umieścić?

— To niemożliwe

— Może mnie pan między małpy wsadzi?

— Wybij pan to sobie z głowy!

— Olaboga, laboga! Co ja pocznę nieszczęsny! W komórce mam siedzieć i myśleć...

— I to, panie, pod warunkiem. Zerwie pan zupełnie w przeszłością, zmieni pan nazwisko, obierze pseudonim. Wtedy — może, choć nie obiecuję...

— Więc nic, nic, zupełnie nic?... bełkotał Odyn.

— No, mój łaskawco! Kręgosłupa pan nie ma, jamy brzusznej pan nie ma, rzęs i brodawek pan nie ma! *Ogębia pan nie ma!*..

Tu Odyn wstał i zapiął drżącymi palcami tużurek.

— Dziękuję panu — rzekł. Wiem, co mi czynić wypada.

Poszedł i utopił się w Naturze.

„grywania amantów", gdyż zakres jego uzdolnień leży w granicach charakterystyczno-komicznych. Mniejsze role grali: p. Wierzejska najlepsza charakterystyczna aktorka w trupie Teatru Małego, p. Czeremużyński i p. Bielecki.

Utwór sam pod względem wartości sceniczno-literackich należy bodaj do najlepszych sztuk Bahr'a. Oparty nie na zewnętrznych perypetjach (jak „Mój przyjaciel Tadzio" lub „Napoleon i Józefina") lecz na bardzo subtelnie uwidocznianych wewnętrznych przeżyciach, na częstotliwych przekrojach psychologicznych, posiada wyrastającą z podłoża struktury hebblowskiej, atmosferę dramatów Ibsena, acz nie tak mroźnie czystą i w nie najdalsze idącą ducha bezmiary. Koncepcja głównego bohatera — „mistrza" acz w rozmiarze największym zalegająca obszar sztuki nie przeszkodziła jednak mistrzowi tej miary co Bahr uwypuklić z niezmierną finezją i drobiazgowością postaci osób innych. Zakończenie jeno w „Mistrzu" szwankuje pewną nietyle niedopowiedzianą ile niezdecydowaną mglistością. Dramatopisarz jednak wyręczył psychologa efektem scenicznym.

K. W.

Teatr Nowości. W teatrze Nowości wystawiono przed tygodniem operetkę P. Linckego „Grigri". Libretto, pióra pp. Bolten-Baekersa i Chausela, nie odznacza się humorem i należy do typu szarżowanych librett wodewilowych, do jakich szanujący się kompozytor operetkowy muzyki nie napisze.

Pan Lincke, autor popularnej operetki „Lizystraty", do libretta tego napisał muzyczkę niezwykle banalną, ubogą w pomysły melodyjne, harmoniczne i rytmiczne oraz instrumentowaną niedbale.

Wyróżnia się jedynie po berlińsku sentymentalny walczyk „Grigri" oraz duet króla murzyńskiego Magefiki z panią Broccard. Aktorzy z pp. Brzozowską, Bielską, Morozowiczem, Szczawińskim, Redem i Krzewińskim na czele, z powodzeniem kręcili bicze z piasku, osobistą inwencją okraszając mdłe libretto.

Wystawienie „Grigri" usprawiedliwia jedynie ta okoliczność, iż wobec choroby primadonny operetki warszawskiej p. Messalówny, reżyserja zmuszona była w jakikolwiek sposób załatać repertuar.

J. B.

Wrażenia i refleksy.

Stanisław Sierosławski: **Noc ślubna.** Nowele.

Z pierwszych stronic książki p. S. Sierosławskiego z pierwszych nowel tchnie atmosfera jakby Poe'go, linja narracji dąży przełęczą, z której po jednej stronie widniej obszar bytu doczesnego, po drugiej mroki śmierci. Lecz już w pierwszej połowie nowel obrys ten mgli się i zanika, występuje natomiast coraz dobitniej cecha najsilniejsza „Nocy ślubnej" — epigonizm Przybyszewskiego. Krawędź i nadal jest punktem oparcia, lecz rozgranicza ona nie życie i śmierć, tylko te tajemne światy duszy, w których *Ja* styka się z *Ty*, obłęd z równowagą umysłową, instynkt z rozumem, przywidzenia z rzeczywistością, miłość z nienawistnym poczuciem obcości. Światy to olbrzymie, pomroczne, labiryntowe, światy, w których nitką wiodącą do ekspresji może być tylko kategoryczny talent, inaczej wędrowcowi grozi, błąkanie się bezcelowe po manowcach do dezorjentacji zupełnej, lub nieważkie dreptanie po ścieżkach, wytkniętych już przez pionierów-poprzedników. P. S. Sierosławski z samej racji rzeczy wybrał sposób drugi: zwiedza wygodnie pęty, które wykarczował twórczy talent Przybyszewskiego. Idzie śladami promotora swego, nie mając dość talentu na to, by własną przebijać się drogą; naśladuje mistrza nietylko w zakresie, lecz i w formie. Alići tam, gdzie forma Przybyszewskiego postępuje wśród powikłanych zagadek bytu jak człowiek wśród ciemności: ostrożnie, tyle jeno by treść zdobytą posiąść, więc bezpośrednio prostolinijnie, — forma p. S. Sierosławskiego naśladując prostotę mistrza a nie warunkując ją swoistymi zdobyczami, robi ze względu na brak zawartości wrażenie nieudolnej. Stosunek jest mniej więcej taki, jak między dorycką kolumną a drewnianym balem: pierwsza w prostocie swej posiada skrytego ducha harmonji, drugi mimo pewne pozory podobieństwa jest li beztreściwym budulcem. Względnie swoistą koncepcją wyróżniają się w tomie dwie nowele: „Z honorem" i „Jak w bajce".

Z obcej niwy.

Laclos: **Niebezpieczne związki.** Tłom. Boy.

Książka ta tchnie przewrotnym czarem XVIII w — i jest doprawdy w dziedzinie społecznej tym dla swej epoki, czym „Książę" Macchiavela w dziedzinie polityki dla renesansu.

Ludzie cinquecenta nie wahali się używać skrytobójczej broni, lub powoli działającej trucizny, by zgładzić swych przeciwników, a ludzie oświecenia nie uchylają się przed powolnym zabijaniem swych wrogów, zabijając im... duszę. Wiek listów, pamiętników zostawił nam mnóstwo okien, przez które w głąb jego wejrzeć możemy. „Niebezpieczne związki" zajmują takie właśnie miejsce, bo acz nie są one listami tych czy owych ludzi, lecz są listami swej epoki, są uchwyceniem najistotniejszych jej cech. Stało się to dzięki temu, że autor, jako elegancki bywalec salonów paryskich, żył wśród tego świata zepsucia i umiał widzieć wszystko. Patrzył nie okiem chłodnego badacza i krytycznego historyka, lecz człowieka głęboko czującego i przejętego zgrozą nad tym, co się wokół dzieje. A przytym umiał uchronić się od moralizatorstwa. Poza końcem, przynoszącym szereg okropnych—wypadków, które możnaby poczytać jako karę za grzechy, nigdzie Laclos nie zdradził się z oburzeniem na swych bohaterów — nie dał nam poznać, że myśli wręcz przeciwnie.

Książka ta, która właściwie powinna już przejść do historji literatury (wyszła w 1782 r.) tak tętni życiem, tak pełną jest psychologicznych spostrzeżeń, że czytając ją, nie myśli się, iż lata nas dzielą od jej powstania. Trzeba ją tymbardziej podziwiać, że będąc wiernym, i powiedzmy odrazu okrutnym, obrazem swego wieku, jest jednocześnie arcydziełem psychologji ogólno-ludzkiej.

Od wieków były dzieła poświęcone tajnikom miłości — to dziwne dzieło jest opowieścią o drogach i sposobach uwodzenia duszy.

Przyjrzyjmy sie teraz środkom, jakimi operuje i rozporządza wiek XVIII-ty. Więc z jednej strony prywata w najśliniejszym tego słowa znaczeniu, myśl o swych intrygach, o sobie posunięta tak daleko, że obawie, co o nas powiedzą, podporządkowuje sie wszystko, nawet szczęście. Ale by i nikt nie poznał się na tym, by nie pokrzyżował planów, nakłada się maskę i rozpoczyna grę i życie całe jest komedją, o której istnieniu osoby niewtajemniczone nie powinny nigdy wiedzieć. Czasem jest ktoś wybrany, ktoś jest „publicznością" i ktoś grę oceni.

Ale to życie mózgu, ten chłodny intelektualizm nie wyklucza zmysłów ognistych, przy kamiennym sercu i te

zmysły, dzięki łatwości stosunków niczym nieskrępowanych, żądają coraz silniejszych podniet. Pragnienie coraz nowych wrażeń pożera ich, dławi głód sensacji i z tego rodzi się perwersja, szukanie coraz ostrzejszych wzruszeń, coraz bardziej sprzecznych z naturą ludzką.

Takby się dało określić życie wielu ludzi z XVIII wieku i tak się da określić życie psychiczne dwojga głównych bohaterów „Niebezpiecznych związków", którzy właśnie w myśl wyłożonego wyżej poglądu na świat igrają swymi i cudzymi sercami, nie bacząc na to, że je łamią i niweczą, lub właśnie pragnąc tego.

Prym w tej grze okrutnej trzyma kobieta, markiza de Merteuil, o której możnaby powiedzieć, że jest przedziwną w swej przebiegłości. Ta kobieta uprawia intrygę con amore, nic uchyli się przed żadnym kłamstwem, nie cofnie przed niczem, by swym kaprysom dać folgę, by zgubić tych, dla których zguba jest jej potrzebną, i by ustalić swą opinję — cnotliwej i niedostępnej, ośmieszy, oplwa wszystko, co dla kogoś może być świętym.

Markiza czuje, że pomimo jej osobistej władzy, płeć jej cała jest ujarzmioną; „dla nas jest szczęściem nie przegrać, dla was nieszczęściem nie wygrać", miłość nie traktuje jako walkę o władzę. Nie mogąc działać siłą, działa podstępem — robi z mężczyzn swych niewolników, zabierając im jakąś tajemnicę. Przyznaje się dumnie „niejednemu Samsonowi w ten sposób włosy obciętam". Dla niej pojęcie miłości i kochanka nie są identyczne. Kochanek jest czymś względnym, zmiennym, to chwilowy kapłan tego boga co wiecznie żyje — i dlatego zmiana przedmiotu uczuć jest rzeczą do pewnego stopnia drugorzędnej wagi, w której decyduje ambicja przeważnie, chodzi głównie o to, by go przed okiem świata ukryć i chodzić wciąż w aureoli... Nieskazitelnej.

Bladym jej cieniem tylko w sztuce życia jest vicehrabia de Volmont, jej niegdyś kochanek, któremu w nagrodę za zwycięztwo innej kobiety obiecuje znów siebie. Tu bowiem wierność nawet na krótką metę nie obowiązuje, wziąć rozkosz kiedy można, kiedy się da, a potym... w objęciach kurtyzany, pisać do ukochanej, czystej i świętej, list miłości i namiętności pełen — to obraz perwersji charakterystyczny, nie jedyny.

I to jest możliwym w wieku, gdzie żadne węzły nie istniały, gdzie wybór kochanka był ważniejszym od wyboru męża, gdzie małżeństwo było układem tak dalece na chłodno robionym, że w tak zwanym „towarzystwie" mowy nawet niema o połączeniu się w ten sposób dwojga kochających osób — skoro jedna z nich jest [illegible]

Nawet prawdziwe uczucie kryje się pod maską cynizmu, często nie chodzi nawet o osobę daną, lecz o sam fakt zwycięztwa, bo do kobiety przystępuje się też z całym arsenałem wiedzy i dopóty prowadzi się oblężenie, i gdy cel osiągnięty, porzuca się ją ze spokojnym sumieniem.

Tą drogą chce iść wicehrabia — bojąc się zdradzić przed swą mentorką, że w nim zagra czasem prawdziwy sentyment — ale on nie jest tak jak ona zahartowanym w walkach z samym sobą — próżno się chwali „my tylko dwoje coś warci jesteśmy na świecie" — ona jedynie potrafi kroczyć zwycięzko po drodze fałszu i obłudy.

Piłkami w ręku tych ludzi są 3 osoby, które przedstawiają różne ustroje psychiczne. A więc kobieta, tych zasad, która więzy w życiu uznaje i potrzebuje ich [illegible]

Młody chłopak, bez woli, kochający więcej miłość samą — niż daną osobę — i dziewczyna zaledwie budząca się do życia, na której eksperymenty markizy tak świetny rezultat wydały, że wolno jej ochrzcić to nazwą „arcydzieła". Nie chodzi przecież o oszukiwanie męża, to rzecz tak prosta i naturalna, lecz zdradzić kochanka i to w dodatku pierwszego, wszak to szczyt pojętności w trudnej sztuce życia.

Nie mogąc dłużej pisać o „Niebezpiecznych związkach", chciałam podkreślić i uwydatnić te cechy, które są dla swej epoki zasadniczymi, co jest ważnym wobec nawoływań we Francji do badań bezstronnych XVIII w., do których i Polacy są zaproszeni, by wzięli udział w pracy. Książka ta dla poznania owego wieku jest bez kwestji ważną, szczególniej, iż wiemy, że na podobnych jej bohaterach ludziach, wzorowali się często współcześni im nasi rodacy.

Nie możemy jednak jej brać za jedyny wyraz duszy francuskiej z epoki przed rewolucji, pamiętamy, że ona też wydała „Nową Heloizę".

Otto.

WOLNE GŁOSY.

2. — Las Birnam.

Żywiołowa obcość, nieunikniona przeciwstawność i wrogość obu na jednej ziemi przebywających narodów — polskiego i żydowskiego byłaby sama przez się rzeczą jasną, bezsporną i dla każdego zrozumiałą, gdyby nie pewne dość dziwne zjawisko, mianowicie t. zw. asymilacja, która sprawę żydowską u nas tak dalece zaciemnia i wikła, jakby to właśnie zaciemnianie i wikłanie jedynym było jej istnienia celem.

Czym jest asymilacja? Faktem rzeczywistym, czy tylko papierową ułudą? Czy może jednym i drugim, a w takim razie w jakim stopniu przejawia się tu, a w jakim — tam? Czy asymilacja wogóle jest możliwa? Komu wreszcie i do jakich celów służy asymilacja? Oto szereg narzucających się pytań, które jasnych i stanowczych wymagają odpowiedzi.

Asymilację można sobie wyobrazić tylko pod dwiema postaciami: jedną nazwijmy tu asymilacją krwi, drugą — asymilacją kultury.

Asymilacja krwi jest w normalnych warunkach sąsiadowania narodów zjawiskiem zwykłym, ale w niezmiernie szczupłych granicach działającym. Pewnego maleńkiego procentu krwi użyczają sobie wzajemnie najbardziej nawet wrogo względem siebie usposobione narody, a to za pośrednictwem małżeństw mieszanych.

Żydzi nie stanowią pod tym względem wyjątku, nie stanowili go nigdy i nigdzie. Dokładnych obliczeń przesiąkania krwi żydowskiej do polskiej nie posiadamy. Mikroskopijność jednak tego zjawiska łatwo ocenić na zasadzie następujących kilku prostych i znanych pewników: w całym ludzie polskim wiejskim i miejskim, oraz w warstwach średnich wsi i średniego mieszczaństwa małżeństwa mieszane z Żydami należą do jaskrawych wyjątków, palcami wytykanych, czego — oczywiście — na dziesiątek miljonów ludności nie można nawet brać w rachubę. Pozostaje więc inteligencja wiejska i miejska, oraz garstka arystokracji i plutokracji, co razem stanowi 5 % narodu. W tej warstwie jedynie trafiają się małżeństwa mieszane i o niej tylko możemy mówić. Ale i tu małżeństwa te należą do wyjątków. Otrzymujemy w wyniku maleńki procent maleńkiego procentu w narodzie. Jest-to więc kropla w morzu.

Otóż, zważywszy, że jest to zjawisko na całym świecie między narodami zwykłe, a co do wielkości, zwłaszcza w stosunku do Żydów — mikroskopijne, zważywszy nadto stwierdzoną czę-

stą bezpłodność takich małżeństw, oraz chorobliwość ich potomstwa, a to z powodu zbyt odległych od siebie typów rasowych — semity i aryi, zważywszy wreszcie umiejscowienie tego zjawiska w garstce inteligencji i całkiem już wyobcowanej z narodu arystokracji, z łatwością dojdziemy do przekonania, że w sprawie żydowskiej w Polsce asymilacja krwi żadnej roli nie gra i grać nie może.

Małżeństwa mieszane w większej nawet, niż z Żydami, ilości zawierane między Niemcami a Polakami, w niczym stosunku obu tych narodów nie zmieniają. Nie zmieniają również stosunku Żydów do Polaków. Jest-to zjawisko porządku przyrodniczego, zjawisko niezmiernie drobne i w sprawach politycznych, społecznych i kulturalnych żadnego znaczenia nie mające. Należy więc je z rozumowań w sprawie żydowsko-polskiej raz na zawsze wykreślić.

Tak więc pozostaje tylko druga możliwa postać asymilacji, t. j. asymilacja kultury. Lecz tu zaraz na wstępie nastręcza się pytanie: czy to wogóle można nazwać asymilacją?

Wyobraźmy sobie — w myśl asymilatorów,— że po pewnym czasie dwa miljony Żydów, Polskę zamieszkujących „asymiluje się“ w ten sposób, no!., i przejdźmy się wówczas po Nalewkach, lub zajrzyjmy do Lublina, Pińczowa, Bełżyc, czy jakiegokolwiek ze stu miast Królestwa. Kogóż tam spotkamy, jak sądzicie? Naturalnie— samych „Polaków“... Lecz myślę, że najzapaleńszy Żyd-asymilator weźmie tych „Polaków“ w cudzysłów i nie zdoła ukryć uśmiechu. I myślę, że gdyby tysiąc lat żył i co roku tam zaglądał, nigdy tego cudzysłowu odjąć owym mieszkańcom nie potrafi i tysiąc razy niezmiennie się uśmiechnie.

Tego rodzaju „asymilacja“ całego narodu nie jest asymilacją żadną, lecz poprostu pewnym zewnętrznym przeobrażeniem się narodu żydowskiego, przeobrażeniem się, *jakiego on już nie raz dokonywał, w niczem istoty swej nie zmieniając.*

Kolejne fale języków: hebrajski, hiszpański, francuski, holenderski, niemiecki, angielski, rosyjski, polski i wreszcie żargon, kolejne fale kultur od wielkich ościennych cywilizacji Wschodu począwszy, a kończąc na obecnej ogólno-europejskiej kulturze — przeszły przez Żydów i nie uniosły z tej opoki ani jednego złomka duszy żydowskiej. Naród ten pozostanie zawsze narodem żydowskim bez względu na to jak się ubierać będzie, jakim językiem mówić będzie i jaką kulturą żyć. Jeżeli zaś nie zabiło go dwutysiącoletnie rozproszenie, tembardziej nie zabije dwutysiącoletnie skupienie. owszem — jeszcze bardziej go zewrze i umocni!

To, co dotyczy całego narodu, stosuje się również bez żadnych zmian do owej garstki Żydów-asymilatorów, garstki inteligencji żydowskiej, która myśli i mówi po polsku. Taka sama garstka Żydów istnieje w Niemczech myśląca i mówiąca po niemiecku, w Anglji — po angielsku, we Francji — po francusku i t. d. I mimo to wszystkie te garstki czują się Wszechżydami i do Wszechżydostwa swego świadomie i czynnie się przyznają, o czym historja od wieków codziennie i niezbicie świadczy, o czym bodaj świadczy dobitnie każdy numer *Izraelity*.

W czym tkwi tajemnica tej żywotności i mocy? A oto w tym, że Żydzi są równie od ludów aryjskich dalecy, jak Chińczycy, więc gdziekolwiek są — pozostają sobą i łączyć się z innymi ludami nie mogą nawet węzłami kultury narodowej — nietylko krwi. Ludy aryjskie, do których i Polacy należą, mogą się łączyć ze sobą na podstawie swego pokrewieństwa, mogą nawet, *nie łącząc się krwią*, przyjmować w siebie większymi dawkami narody pokrewne, licząc na łatwe ich upodobnienie się ze sobą. Z Żydami — jest-to niemożliwością.

W czem zaś tkwi owa fantastyczna tajemnica wciąż głoszonej asymilacji kultury, która jest i zarazem nie jest? A oto w tem, że pomieszano tu pojęcie kultury umysłowej, ewentualnie kultury europejskiej z pojęciem kultury narodowej.

Zachodzi tu mianowicie omam, polegający na tem, że owi zasymilowani Żydzi żyją tą samą ilością naszej kultury umysłowej i tą samą ilością kultury ogólno-europejskiej, co i my. Ale kultura *umysłowa* i kultura *ogólno-europejska*, to nie kultura polska wyłącznie, ani wyłącznie francuska, lub niemiecka, wogóle to nie kultura *narodowa*, lecz *ogólno-ludzka*. A to jest olbrzymia różnica.

Ogólno ludzka kultura składa się z kultur umysłowych poszczególnych wybitnych narodów i dostępna jest wszystkim narodom zdolnym, a więc i Żydom. Kultura umysłowa jest dobrodziejstwem wszystkich i w niej nikt nie szuka różnic, ani dostojeństw, ani wartości narodowych. Jest ona *ponad* sprawą narodowości. Otóż Żydzi inteligentni żyją tą kulturą europejską, oraz tą cząstką polskiej kultury, która jest umysłowo i wszystkim łatwo dostępną. To też każdy im chętnie przyzna kulturalność i nawet przydomkiem europejczyków obdarzy.

Ale kultura narodowa każdego narodu poszczególnego polega w pierwszym rzędzie na nie dających się powtórzyć ani podrobić psycho-fizjologicznych właściwościach danej gromady ludzkiej, a następnie na długotrwałej wspólnej tradycji współżycia krwią i duchem, na *rzeczywistej* przeszłości, która tkwi w nas przez przodków przekazana. Te a nie inne właściwości psycho-fizjologiczne, ta a nie inna przeszłość *rzeczywista* w teraźniejszości tkwiąca sprawia to, że każdy naród tworzy swoje odrębne melodje, swoją muzykę, swoje barwy i odrębne ich harmonje, swój język odrębny, którego-by żadna inna gromada ludzka stworzyć nie mogła, swoje kształty, swój styl w zdobnictwie i budownictwie, swoją odrębną tonację uczuć, swoją odrębną poezję, swój odrębny typ fizyczny, duchowy i nawet umysłowy. Cały zespół tych odrębności stanowi kulturę narodową, a jej niezbędnym podłożem jest długowieczna odrębność i swoistość danego narodu.

Otóż przodkami Żydów-asymilatorów są Żydzi, a nie Polacy i to jedno tłómaczy, dlaczego nie mogą oni stać się Polakami.

Rzecz dziwna, że w stosunku do żadnego innego narodu nie wikłamy tej sprawy, z jednymi tylko Żydami tyle mamy kłopotu. Jest-to wina „asymilatorów“, owej garstki inteligencji żydowskiej, która tyle robi z „asymilacją“ hałasu i mąci ludziom w głowach.

Jaki też mogą mieć cel Żydzi-asymilatorzy w głoszeniu tych haseł tak widocznie czczych i fałszywych? Oto pytanie stokroć istotniejsze, niż cała „asymilacja“, pytanie, które raz z całą otwartością postawić musimy i z niemniejszą otwartością rozwiązać.

Dzieje się tu coś tak samo nieprawdopodobnego i niemożliwego, jak owo zdarzenie wyroczne, jak owa przepowiednia czarownicy, której Makbet tak zaufał... Z przerażeniem i bladym gniewem odtrąca Makbet wieść, którą mu żoł-

nierz z przednich czat przynosi: „Las Birnam zbliża się do murów Dunzynanu!".

A jednak była to prawda. Wojska nieprzyjacielskie pod osłoną gałęzi pościnanych zbliżały się zwolna i otaczały pierścieniem żelaznym starą warownię Lorda Kawdor. Przednie szeregi wrogów umajone liśćmi konarów osłaniały ruchy całego wojska i nim się opamiętano, że to nie las, już było zapoźno.

Tę samą rolę przednich armji szeregów, rolę osłony dla całego narodu żydowskiego odgrywają wobec nas Żydzi-asymilatorzy, oliwnemi potrząsający gałązkami, owi „Żydzi-Polacy" czule pieśni współżycia narodów wśród szmeru liści niewinnych wyśpiewujący. Lecz strzeżmy się: *to idzie las Birnam*!

I mało nas to obchodzi, ani to postaci rzeczy nie zmienia, czy owi Żydzi czynią to świadomie, czy też bezwiednie. Jeżeli bezwiednie, to niechże się teraz dowiedzą, co czynią. A jeśli świadomie, to tem gorzej dla nich. „Kłamstwem świat przejedzie, *ale nie wróci*!", mówi polskie przysłowie. Żydzi są już na ostatnim etapie swojej dokoła świata podróży. Dzisiaj nikt ich maskom nie uwierzy.

St. Pieńkowski

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** W Nr. 45—46 *Przeglądu Wileńskiego* czytamy o „Chwili osobliwej", którą zwiastuje zachmurzająca się z dniem każdym sytuacja międzynarodowa. Autor, p. Józef Sorokowicz, jest zdania, iż wbrew orjentacji politycznej naszych sfer zachowawczych w razie wybuchu wojny kwestja polska zajmie miejsce naczelne przed torum wypadków dziejowych.

Kwestja polska jest i nie może nie być kwestją europejską. Naród kulturalny, dwudziestomiljonowy, zamieszkujący sam środek Europy, a żyjący w warunkach wysoce nienormalnych, niezdrowych, hamujących lub paczących jego ewolucję; naród, któremu dzisiejsze *status quo* chronicznie dokucza, rodząc niezadowolenie i gorycz, dającą się coraz wyżej maskować — taki naród musi być ogniskiem fermentu. A im bardziej ferment ów jest głuszony, zażegnywany gwałtem lub półśrodkami, tym niebezpieczniej się przedstawia, bo nieznany jest i grożący niespodziewaną dywersją.

To też choć Europa chętnie o kwestji polskiej zapomina, kwestja ta nie przestaje być dla niej upiorem, który co pewien czas przejmuje ją lękiem i dyplomatów pozbawia spokoju.

Taką właśnie chwilę przeżywamy obecnie.

Możliwość wojny rosyjsko-austryjackiej zrodziła pytanie: jak się ewentualnie zachowa Polska. Zaniepokoiło to Londyn, zaniepokoiło Paryż, gromkim echem odezwało się w prasie petersburskiej. Na dusery zdobył się tu nawet osławiony p. Mieńszykow, który jął zasypywać Polaków obietnicami, strasząc równocześnie Austrją, jako nieprzyjaciółką wolności słowiańskiej. Odezwały się i inne pisma, mniej wrogo usposobione, nawet zgoła przyjazne, ale równie — kto wie nawet, czy nie bardziej — ignoranckie względem stosunków polskich. Takie np. „Russkoje Słowo" wyobraża sobie, że jedyną dla Polski sprawą dokuczliwą jest wyodrębnienie Chełmszczyzny. „Polska — czytamy tu — nie poznała jeszcze głębin miłości rosyjskiej; ona zna tylko *kiepską* (kursywa nasza, przyp. p. aut.). rosyjską administrację. Polska nie czytała „Eugenjusza Oniegina" i t. d. Autor więc nawet tego nie wie, że „Eugenjusza Oniegina" *musimy* w szkołach uczyć się na pamięć, choć arcydzieło to wolelibyśmy czytać z własnej, nieprzymuszonej woli.

W każdym razie słodkich słówek nie brak.

Znacznie powściągliwiej zachowuje się Wiedeń; najobojętniej - Berlin. Ostatni pozwolił sobie nawet w tej osobliwej chwili rozpocząć wywłaszczenie Polaków.

Co to znaczy?

Czyżby mocarstwa trójprzymierza tak były pewne, że Polska jest niewątpliwym w ich ręku atutem? Czyżby się z kwestją polską nie liczyły?

Bynajmniej! Wiedeń rachuje się z nią bardzo. Ale swoim Polakom niema on nic do obiecywania; tu sprawy idą normalną koleją. Nadzieje budzić może tylko za kordonem, ale gra to niebezpieczna z rozmaitych względów: *Primo* — wzgląd na przyjaźń berlińską; *Secundo* — wzgląd na Koło Polskie, od którego Wiedeń zbyt jest zależny, by mógł wabić je mirażami. Boć rzeczywiście nic innego do ukazania nie ma. Miraże takie dobre są w prasie petersburskiej; na gruncie wiedeńskim pomyśleć się nie dadzą.

To jednak nie znaczy, by politycy austrjaccy nie czynili żadnych wysiłków dla skaptowania Polaków. Ale działają oni nie za pomocą prasy nieurzędowej, lecz drogą jeszcze mniej obowiązującą: pocztą pantoflową. Już przeszło od roku kawiarnie lwowskie i krakowskie rozbrzmiewają tajemniczymi legendami o przymierzu socjalistów polskich z rządem austrjackim.

Wiedeń sam gawędy te sieje, wie o nich doskonale, lecz naturalnie żadnej na się za nie odpowiedzialności nie bierze, co zaakcentowane zostało w prasie i — via Berlin.

To jednak zgoła nie przeczy faktowi, że sympatje Polski wysoko są obecnie cenione; że jest ona z wielu stron to otwarcie, to znów cichaczem [redacted]

Akcję tę wszakże komplikuje okoliczność, że w imieniu Polski nikt dziś żadnej odpowiedzi, ani obietnic dawać nie może. Natomiast możliwe są najdalej idące niespodzianki. Królestwo, które w rachubach najważniejszą odgrywa rolę, politycznie zorganizowane nie jest. Masy, trzymane sztucz- [redacted] wpływ słowa drukowanego mało są wrażliwe.

Są one zagadką. Zagadką też jest, kto czem i w jakich warunkach zelektryzować je potrafi. I ta właśnie zagadkowość stanowi dziś główny atut ze strony polskiej — czego jednak rozmaici działacze wcale nie rozumieją i spieszą dawać przedwczesne zobowiązania.

KRONIKA.

IV DUMA. Ministerjum spraw wewnętrznych zażądało od gubernatorów wyjaśnień w sprawie rewelacji o nadużyciach wyborczych. Na odnośne interpelacje w Dumie odpowiadać będzie w imieniu rządu min. spraw wew. Makarow. Jak donoszą pisma petersburskie zarys takiej odpowiedzi niezależnie od zarządzeń ministerjal-

nych został już przygotowany z powodu mobilizacji duchowieństwa — minister ma oświadczyć, że duchowieństwo wyzyskało jedynie swoje prawo wyborcze; podział na kurje dokonywany był na podstawie prawa i jedynie starania październikowców o zmianę tego podziału były skierowane ku obejściu tego prawa; wreszcie, co się tyczy wykreślenia z list wyborców i prawyborców, to opierało się ono na literze prawa i uznane zostało częściowo nawet przez senat. Wogóle zaś podczas wyborów minister ze strony administracji nie dopatrzył się żadnych wykroczeń.

XVIII ZJAZD CHIRURGÓW POLSKICH W KRAKOWIE odbędzie się dnia 20 i 21 grudnia. Jako tematy programowe ustalono ostatecznie następujące: 1) o leczeniu złamań kości" (referenci d-r J. Borzymowski z Warszawy i prof. d-r Rutkowski); 2) „o ropnym zapaleniu otrzewnej" (referenci d-r Kryński z Warszawy i d-r Herman ze Lwowa). Tematy dowolnych wykładów mają referenci zgłaszać pod adresem sekretarza d-ra M. W. Hermana (Lwów, Pańska 3). Zjazd zapowiada się licznie; przybędą nań chirurgowie ze wszystkich ziem polskich. *Przegląd lekarski* do wiadomości o zjeździe dodaje następujące uzupełnienie: „Zjazd chirurgów polskich, który mieliśmy nadzieję widzieć w bieżącym roku w Warszawie, ze znanych powszechnie powodów nie będzie się tam mógł zgromadzić i obradować będzie w grudniu r. b. w Krakowie. Nie należy wątpić, że okoliczności, które zmusiły Zjazd do wyrzeczenia się tym razem obrad w Warszawie, wywołają tym liczniejszy udział w Zjeź- [illegible] gadnienia, obchodzące najszersze koła lekarzy praktyków, i że Zjazd przypada w jubileuszowym roku twórcy polskich zjazdów chirurgicznych, któremu liczna rzesza Jego uczniów zapragnie okazać przy tej sposobności swe uczucia wdzięczności".

LICZEBNOŚĆ I ROZSIEDLENIE LUDNOŚCI POLSKIEJ. Edward Czyński, autor monografji p. t. „Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiej" podaje obraz statystyczny narodu naszego na terytorjum dawnej Rzeczypospolitej polskiej, w okresie dzisiejszym.

Zebranie ogólne liczb, przez autora skrupulatnie gromadzonych, wykazuje Polaków:

pod berłem rosyjskim	10,15 miljonów
„ „ niemieckim	4,03 „
„ „ austrjackim	4,10 „
razem	18,28 miljonów

Z tej ogólnej liczby wszakże, nie wszyscy mieszkają na terytorjum ściśle etnograficznym, a nadto wielu jeszcze jest w rozproszeniu, poza granicami politycznymi dawnego państwa polskiego. Na dawnym terytorjum państwowym autor oblicza Polaków na 15 — 16 miljonów, a poza tymi granicami, lecz jeszcze w granicach etnograficznych, na 1,965 miljonów, czyli razem 17 — 17 i pół miljonów; w rozproszeniu w 3 państwach rozbiorowych, około 725,000. Polaków rozproszonych po innych krajach, szczegółowo nie oblicza; zaznacza tylko, że łącznie z temtymi *ogólna liczba Polaków na kuli ziemskiej prawdopodobnie przewyższa 20 miljonów.*

W prowincjach rosyjskich skupił się żywioł polski najliczniej, bo powyżej połowy ogólnej liczby Polaków, zamieszkałych na dawnym terytorjum. W Królestwie Polskim stanowią oni zwartą masę; we wschodnich zaś częściach granic politycznych stanowią mniejszości.

W r. 1907 na terytorjum Królestwa Polskiego mieszkało 8,471,000 Polaków = 73,45 ogółu mieszkańców kraju. Pod względem wyznania dzielili się oni na:

katolików	w liczbie	8,317,000 głów
protestantów	„	37,400 „
marjawitów	„	58,900 „
żydów	„	56,600 „
innych	„	1,100 „

Polaków, zamieszkałych w kraju Zachodnim, obejmującym Litwę, Białoruś i zachodnią część Małorusi, autor oblicza na 1,050,000 (1907 r.) W r. 1897 liczono ich 885,558.

W dalszych guberniach Cesarstwa było osiadłych [illegible]

w Rosji europejskiej	165,000
na Kaukazie	10,503
na Syberji	26,955
w Azji Średniej	3,244

W państwie austrjackim było w r. 1905 Polaków:

w Galicji	3,982,033
na Śląsku	220,472
na Bukowinie	26,857
w innych krajach Austrji	23,121

W całej Galicji Polacy stanowią 53,3 proc. mieszkańców. Na Morawach, w okręgu sąd. Ostrawa, zaludnionym przeważnie przez czechów (55,2 proc.), Polacy stanowią jeszcze 16,3 proc. ludności, a na Bukowinie 3,7 proc.

Polaków, osiadłych na terytorjum własnym w granicach monarchji niemieckiej (według spisu 1900 roku) liczono:

w Prusach wsch.	311,768,	w tym	25,608	dwujęz.
„ zach.	555,118,	„	17,593	„
w Ks. Pozn.	1,167,975,	„	10,593	„
na Śląsku	[illegible]	„	81,136	„
na Pomorzu	[illegible]	„	[illegible]	„
razem Polaków	3,214,246,	w tym	138,752	t. zwanych

„dwujęzycznych".

Rozproszonych po Niemczech 289,619, w tym 68,444 „dwujęzycznych".

Polacy w Ameryce osiedli najgęściej w Stanach: Pensylwanji, Nowym Jorku, Illinois, gdzie liczba ich dochodzi od 300,000 — 500,000 głów. Od 100,000 — 200,000 osiadło w stanach: Wisconsin, Michigan, Massachusets, Ohio, New-Yersey, Minnesota i Connecticut. W innych stanach w mniejszych skupieniach. W Brazylji liczba Polaków nie przewyższa 100,000, a „ogólna liczba Polaków w Ameryce nie może się wiele różnić od 2 miljonów".

TREŚĆ POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Być albo [illegible] „Co weźmiemy — to nasze!". — Dwie rocznice. — [illegible] przez Jana Tarczewskiego. — W delegacjach austryjackich, przez Zygm. Nowickiego. — [illegible] jesteśmy indywidualni, przez Leona Choromańskiego. — Ruch artystyczny: Z teatru, przez K. W. i J. B.— Wrażenia i refleksy, przez Otto. — Z obcej niwy, przez Otto. — POEZJE; Dwa południa, przez Aleksandra Szczęsnego. — ODCINEK: Z cyklu „Sury". Mit, przez Bruno Winawera. — WOLNE GŁOSY: Las Birnam, przez St. Pieńkowskiego. — Z PRASY: Z polskiej.— KRONIKA.

Za redaktora: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, S-to Krzyska 11.

LECZĄC

zatwardzenie, zapobiegamy jednocześnie groźnym jego następstwom: przekrwieniu wątroby, uderzeniom krwi do głowy, chronicznemu katarowi kiszek, zapaleniu ślepej kiszki i t. d. Zatwardzenie usuwa radykalnie

SKAWULIN,

jedyny środek przeczyszczający, działający bez bólu i łagodnie.

WAŻNA ZMIANA.

Ilość pigułek w pudełkach „SKAWULIN" została znacznie zwiększona bez podwyższenia ceny.

Wyszły z druku Józefa Langego:

1. **W poszukiwaniu drogowskazu.**
   Wstęp do programu politycznego. Cena kop. 30
2. **Moda**, szkic społeczno-polityczny. Cena kop. 60
3. **O zasadę solidarności**, Cena kop. 30

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI

E. WENDE i S-ka.

Wydawnictwa „Prawdy".

Antoni Menger: Prawo do całkowitego wytworu pracy cena k. —.75

Karol Gide Rozwój instytucji społecznych w ciągu XIX stulecia rb. 2.—

Ignacy Radliński: Jezus, Paweł i Spinoza rb. 3.—



NAJLEPSZE

są

PATEFONY

ponieważ grają bez igieł, wieczną kulką szafirową głośno, czysto i naturalnie.

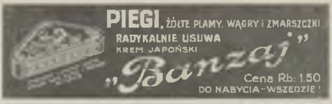
Nowe udoskonalone modele nadeszły.

W repertuarze wszystkie opery, najnowsze **operetki**, kabaret, sceny humorystyczne, tańce etc.

Ceny płyt zniżone

Główny Skład na Król. Polskie **ADAM KLIMKIEWICZ.**

ZA GOTÓWKĘ | Warszawa, WIERZBOWA 8 [illegible] | NA RATY



Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

w Warszawie [illegible]

z przesyłką poczt do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10

[illegible]

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty między 2-ą a 3-ą. **Kierownik** literacki przyjmuje w środy i piątki między 3ą a 4ą.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

[illegible]

Przedpłatę przyjmuje: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

[illegible] dziel i świąt, od godz. [illegible]

Drukarnia L. Bogusławskiego, Warszawa, Świętokrzyska 11. Telefon 185-52.